MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 35. WARSZAWA, 25 SIERPNIA 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.

CZY FRANCJA IDZIE KU PRZEWROTOWI?

(ARTYKUŁ NIECO POLEMICZNY[1])

Z ROSNĄCEM zainteresowaniem obserwuje Europa obecne wydarzenia i przemiany w polityce wewnętrznej Francji. I przeważna większość Europejczyków zdaje się przemiany te oceniać według modnej dziś teorji katastrof, jaką pokoleniu współczesnemu narzuciły doświadczenia okresu powojennego. Komunista nie może się nadziwić, że jeszcze nie zainstalowały się w Paryżu sowiety, faszysta zaś ubolewa, że pokrewna Włochom Francja nie decyduje się na dobrodziejstwa włoskiego ustroju. Jeden i drugi rozumuje zapewne, że sukces jego ustrojowej doktryny pełny będzie i trwały dopiero wtedy, gdy zostanie przyjęty przez Paryż, stolicę Zachodu.

Zdaje mi się, że w tych poglądach i w tych nadziejach na Francję tkwi błąd. Stosowanie teorji katastrof miałoby sens, gdyby Francja była narodem młodym, o żywiołowej dynamice w dążeniach politycznych czy społecznych, lub gdyby znajdowała się wobec wielkiego, politycznego lub innego, ale niewątpliwego bankructwa. Tymczasem żadna z tych ewentualności nie zachodzi. Francuzi są narodem starym i sceptycznym, a o ile w dedukcjach umysłowych i w twórczości artystycznej odznaczają się śmiałem nowatorstwem, to w poglądach na formy bytu społecznego hołdują skrajnemu konserwatyzmowi. Nie mogą się entuzjazmować do dyktatur, bo przeżyli dwie od czasu Wielkiej Rewolucji i nie przywiązują zbytniej wagi do konstytucji, bo w ciągu tego okresu nadali ich sobie aż siedem! I właśnie ta siódma trwa najdłużej, bo 65 lat! Co więcej, trwa ona bez żadnej rewizji, jeśli nie liczyć formalnych zmian z r. 1884. I co jeszcze więcej: konstytucja ta, pomyślana przez jej autorów jako tymczasowa konstytucja monarchiczna bez króla, stała się dla Europy wzorem konstytucyj republikańskich, a dla samej Francji niemal symbolem i istotą republiki. Uległa ona w praktyce życia dużym zmianom. Wahadło władzy przesunęło się od prezydenta do parlamentu. Przeciętny Francuz myśli, że nawet bez zmiany konstytucji, a tembardziej bez rewolucji, można to wahadło przesunąć w przeciwnym kierunku, jeśliby zaszła potrzeba.

O tę potrzebę toczy się właśnie spór, w którym argumenty przeciwników radykalnej reformy mają w oczach przeciętnego Francuza niemały walor. Pomijając już bowiem długi wiek konstytucji z r. 1875, podnosi się, że rządzona nią III Republika osiągnęła na wszystkich polach wielkie i trwałe sukcesy. Otrzymała Francję pobitą i uszczuploną, finansowo wyczerpaną, pozbawioną sojuszników, a oddaje ją dzisiejszemu pokoleniu zwycięską i rozszerzoną. Zdobyła olbrzymie imperjum kolonjalne, odbudowała armję i flotę, podźwignęła gospodarstwo i finanse, zyskała sojuszników licznych i potężnych! Rozwój francuskiej nauki, lite-

---

[1]) Artykuł niniejszy pochodzi od dobrego znawcy Francji dzisiejszej. Jako informacja ma on tę wartość, że przedstawia dokładnie stanowisko rzeczników *status quo* ustroju Trzeciej Republiki. Dla tego samego zasługuje na uwagę i służyć może za podstawę dyskusji w sprawie, tak żywo nas obchodzącej ze względu na przyjaźń, która nas z Francją łączy. Zamieszczamy go też w całości, pomimo że nie dzielimy poglądów autora w całej rozciągłości. — Red.

ratury i sztuki, wpływ duchowy Francji na świat cały nie osłabł w ciągu tych 65 lat ani na chwilę. Po wojnie odbudowała ze zdumiewającą szybkością zniszczone departamenty. Dziś potężna, oparta o przyjaciół, prowadzi szeroką akcję organizowania pokoju. Kryzys gospodarczy dotknął ją najmniej z wielkich mocarstw. Byłoby zresztą nonsensem zmieniać ustrój z powodu 400 tys. bezrobotnych! Deficyt budżetowy? Właśnie się go usuwa, i z jaką energją, z jaką śmiałością! Demonstracje uliczne, zaburzenia, rewolty w portach? Ależ i panowanie Ludwika Filipa było wypełnione krwawemi zaburzeniami. A zresztą zaburzenia takie w ustrojach demokratycznych są w chwilach gospodarczego kryzysu normalnem niemal wyładowaniem niezadowolenia. Jako wskazówki niedomagań przynoszą one nawet tym ustrojom korzyść, gdyż wywołują lub przyśpieszają środki zaradcze. Dyktatury, rządy autorytatywne, do takich wyładowań nie dopuszczają. Skutek jest zwykle taki, że tłumione fermenty rozsadzają po pewnym czasie samą dyktaturę.

Och, znam dobrze argumenty strony przeciwnej. Pewien młody rojalista powtarzał mi przez dwie godziny w Paryżu aksjomat Maurrasa, że to nie III Republika odniosła owe, wymienione wyżej sukcesy, ale odniosła je Francja wbrew republice! Czyż to nie jest sofizmat? Nie zadowolił się tym argumentem Jacques Bainville, mądry publicysta i historyk, jeden z redaktorów monarchicznej *„Action Française"*. W swej historji III Republiki dochodzi do wniosku, że republika miała wyjątkowe szczęście! Czyż jednak szczęśliwą okazją można wytłumaczyć bez reszty powodzenie życiowe? Dlaczego nie przyznać, że ustrój republikański i demokratyczny odpowiadał doskonale przeciętnemu Francuzowi zawiedzionemu na monarchji i cesarstwie, odpowiadał jego sposobowi myślenia, jego zamiłowaniom i uprzedzeniom? Dotąd ta republika nie zawiodła — myśli sobie ów Francuz — dlaczego ją zmieniać? Republika była dziełem masonerji. Dzisiaj katolicy i nacjonaliści są równie gorliwymi jej zwolennikami jak radykali. Tego już nie można wytłumaczyć samą intrygą masońską.

Ostatnie wydarzenia we Francji potwierdzają moją opinję. Nasza prasa poświęca dużo uwagi organizacji „Krzyżów Ognistych", dążącej do dość nieskrystalizowanego w celach przewrotu. Ale bagatelizuje żywiołowy rozmach lewicowego „Frontu Ludowego", który zaskoczył całą prawicę francuską i bardzo już przygasił zapały przewrotowe sympatycznego zresztą pułkownika de la Roque. Otóż cały swój sukces Front Ludowy zawdzięcza hasłu antyfaszystowskiemu, walce z istotnem czy też urojonem niebezpieczeństwem dyktatury. Jest aż zabawnem czytać dzisiaj zapewnienie francuskich pism prawicowych, że nikomu we Francji nie śni się ograniczać wolności obywatelskiej, że faszyzm jest wymysłem Frontu Ludowego itd. Z wyjątkiem dziennika *„Echo de Paris"*, które czasem usprawiedliwia działalność lig patrjotycznych, ani jedno pismo nie przyznaje się do sympatji z „Krzyżem Ognistem". Ani jeden deputowany nie wystąpił publicznie z ich obroną przed nawałnicą ataków i zarzutów. Jeden z umiarkowanych dzienników twierdzi, że „antyfaszyści" zdobędą w wyborach r. 1936 trzy czwarte mandatów do Izby, jeśli zdołają utrzymać solidarność. Wystarczyła więc dosyć nawet niewyraźna groźba dyktatury ze strony lig patrjotycznych, by obóz republikański i demokratyczny wykazał swą siłę i przywiązanie do ustroju. Nie należy więc stosować do Francji analogij z innych krajów i spodziewać się katastrofy republiki demokratycznej na koniec najbliższego miesiąca. Jeden z moich znajomych przegrał w zakładzie z tego powodu kilkanaście flaszek szampana. Jeśliby znalazł naśladowców, to królewski ten trunek popłynie rzeką do Polski, ale Burboni jak siedzą, tak będą siedzieć na wygnaniu.

Dokonuje się jednak i we Francji pewna swoista ewolucja poglądów i instytucyj. Po raz drugi w ciągu lat 10 parlament udzielił rządowi szerokich pełnomocnictw ustawodawczych w zakresie finansowym i gospodarczym. Obrońcy czystego parlamentaryzmu zwalczali gwałtownie tę inowację; w r. 1926 Herriot zeszedł nawet z fotela prezydenta Izby, by zaatakować rząd swych przyjaciół Painlevego i Caillaux'a, domagający się pełnomocnictw; przed kilku zaś miesiącami Izba obaliła dwa rządy: Flandina i Fernanda Bouissona, występujące z podobnemi propozycjami. A jednak i Poincaré w r. 1926 i obecnie Laval rządzi zapomocą dekretów. Co więcej, p. Boncour, wódz trzech stronnictw socjalistycznych, publicznie oświadcza się za pełnomocnictwami jako stałą instytucją. Zwalcza on merytorycznie dekrety Lavala, ale zapowiada, że rząd lewicowy także będzie się pełnomocnictwami posługiwał. Mamy tu zatem do czynienia z prawie niewidocznym, bo nawet żadną zmianą konstytucji nie stwierdzonym, przewrotem. Wahadło przesuwa się ku rządowi.

Dalszy przebieg tej ewolucji poglądów zależeć będzie od powodzenia eksperymentu, jakim jest rząd Lavala. Uzdrowienie finansów i gospodarki francuskiej stworzyłoby dla rządów autorytatywnych z przerwami (jak możnaby nazwać nowy okres III Republiki) klimat niesłychanie pomyślny w opinji publicznej. Maksymalizm „Krzyża Ognistego" i teraz dość mętny, straciłby rację bytu. Pułk. de la Roque nie myślał zresztą o wojnie domowej, która wobec czatujących na okazję Niemiec byłaby zbrodnią. Myślał o objęciu władzy w momencie rozstroju i paniki. Ten rozstrój i ta panika nie wchodzą teraz w rachubę. Republikanin demokratyczny okazał się siłą. Gabinet Lavala oznacza ulepszoną metodę rządzenia. Wobec tych faktów odpada i konieczność radykalnej interwencji „Krzyżów" i możliwość ich sukcesu.

Obóz narodowy we Francji — poza monarchistami — orjentuje się ku takiemu załatwieniu problemu ustrojowego. Manifestacje Frontu Ludowego nie przeszły bez wpływu. Francja wchodzi w krytyczny okres szczupłych roczników wojennych, w okres braku młodzieży. Jeśli rozpoczęta rekonwalescencja rozwijać się będzie normalnie, nie trzeba będzie spodziewać się w Paryżu rewolucji ani z prawej, ani z lewej strony. Na boku zostanie monarchizm, który rośnie bardzo powoli, niemal niewidocznie. Trzecia Republika może znowu „mieć szczęście". A obserwatorzy europejscy mogą być pozbawieni rozkoszy oglądania triumfu swych ukochanych doktryn w wielkiej stolicy Zachodu.

PAR

Z DZIEJÓW POWIEŚCI WARSZAWSKIEJ II

MORENA

Nowele Aleksandra Tyszyńskiego. — Edwin odstępca kraju myślenia. — Idea miłości. — Ruina człowieka z powodu zaprzaństwa. — Spowiedź Prospery. — Murzyn Zymio. — Entuzjazm krytyki. — Tyszyńskiego teorja względności piękna. — Początki powieści psychologicznej.

I

KTOBY chciał zbadać w całej rozciągłości dzieje powieści polskiej w owych czasach, koło r. 1840, mianowicie wpływy, którym ona ulegała, musiałby przestudjować ówczesne powieści Kraszewskiego. Była to bowiem umysłowość chłonna, jak gąbka, wrażliwa na blaski, jak lustro czystej wody, no i miarodajna dla historyka ze względu na rozległość doświadczeń, jakie czynił. Przypatrując się jemu, dojrzelibyśmy wpływy pisarzy obcych, przedewszystkiem francuskich (George Sand, Balzac), potem Goethego (Werter), Hoffmanna i t. d.

Przystępując do swego szkicu, nie zamierzałem sięgać tak szeroko, chodzi mi o wytropienie pewnego wątku w powieści lokalnie warszawskiej. Oczywiście i tutaj w Warszawie czytano pilnie Kraszewskiego, a jak go tu ceniono, o tem świadczą kroniki, upamiętniające pobyt jego w Warszawie w r. 1846. Pisał właśnie „Sfinksa", powieść pokrewną „Pogance" Żmichowskiej ideowo i tematycznie. Znakomite studja P. Chmielewskiego, a przedewszystkiem Adama Bara[1]) udowodniły, że Kraszewski w tych latach znajdował się pod wpływem filozofji heglowskiej i te same zagadnienia ideałów pragnął w powieści rozwiązywać. Byli wszakże i inni pisarze tym samym prądem owładnięci. Ograniczam się jednak do kolonji warszawskiej, której specjalną cechę nadawała jej psychika zbiorowa entuzjazmu. Kraszewski nie miał tej atmosfery koło siebie, jaka była w Warszawie.

Zanim przystąpię do entuzjastki Żmichowskiej, przytoczę dla przykładu Aleksandra Tyszyńskiego, który nie miał talentu, ale że umiał myśleć filozoficznie, robił w Warszawie wielkie wrażenie i wpływ niemały wywierał.

Ktoby pomyślał, czytając teraz jego nowele, że w r. 1842 zrobiły one sensację w warszawskim świecie literackim. Mam na myśli trzy nowele tego znanego później i cenionego historyka literatury i krytyka, wydane owego roku w Warszawie p. t. „Morena albo powieści blade".

Tyszyński dał się był już poznać z dzieła „Amerykanka w Polsce", wydanego w Petersburgu 1835 r. Nie mając zbytniego zaufania do publiczności, czy zechce czytać dzieła naukowe, ubrał wykład literatury w szaty beletrystyczne. Beletrystyka przepajała wtedy życie umysłowe; historja, filozofja szukały w niej środka popularyzacji. Tyszyński widocznie był na rozdrożu między badaniem naukowem (historja, logika, psychologja, filozofja) a powieściopisarstwem. Kiedy przybył z Wileńszczyzny na stałe do Warszawy na wiosnę 1839 r. jako urzędnik w min. spraw wewnętrznych, dał się tutaj ogarnąć prądom literackim i wystąpił z ową „Moreną".

[1]) Adam Bar „Charakterystyka i źródła powieści Kraszewskiego w latach 1830 — 1850".

Niesłusznie o tej książce zapomniano, jest to bowiem dla tych czasów zjawisko bardzo znamienne, jako jedna z pierwszych prób powieści psychologicznej; daje nam możność zorjentowania się w tematach, które wówczas zajmowały pisarzy. Mnie specjalnie interesuje stosunek „Moreny" do utworów Żmichowskiej, a pośrednio C. Norwida.

Lata 1839 — 1842, jak wiemy z życiorysu Norwida, były okresem szczególnego ożywienia w ognisku warszawskiem, co się wyraziło w potrzebie zakładania czasopism literackich, jak „Piśmiennictwo Krajowe", „Bibljoteka Warszawska". Tyszyński znalazł się w gronie założycieli „Bibljoteki Warszawskiej". K. Wł. Wójcicki, Tyszyński i Szabrański nadali pismu poziom wysoki i zapewnili mu długi żywot, sięgający w XX stulecie. Jeden z głównych założycieli, Leon hr. Łubieński, wraz z L. Potockim połączyli „Bibljotekę" z wpływowemi sferami arystokracji. Na słynnych porankach niedzielnych u hr. Łubieńskich gromadziła się conajprzedniejsza socjeta; wszedł do niej, jak wiemy, Norwid, ściśle potem zaprzyjaźniony z Włodzimierzem Łubieńskim. Norwid został też współpracownikiem „Bibljoteki", bywał u Łubieńskich, nie obca mu więc była sfera wpływów, które roztaczał cieszący się sympatją Tyszyński. O bliskich stosunkach autora „Moreny" z Łubieńskim świadczy dedykacja na tej książce: „Leonowi hrabi Łubieńskiemu na pamiątkę przyjaźni autor". Wszedł z nim w styczność koleżeńską Norwid, skoro widzimy w sztambuchu Tyszyńskiego wiersz poety „Burza", z r. 1841[3]).

Tyszyński, starszy od Norwida o lat dziesięć, jako myśliciel i badacz historji, wyróżniał się w zespole redakcyjnym i wiedzą i głębokością tonu ideowego. Silny nacisk jako historyk kładł na rolę Słowiańszczyzny w dziejach. Stąd zainteresowanie, które ujawnił w nowelach, psychologją i etyką pogaństwa, i sam tytuł „Morena", równoznaczny według niego z Morzaną, bóstwem Śmierci u dawnych Słowian.

W przedmowie do „Moreny" Tyszyński uprzedza, że będzie ona nowością. „Powieści współczesne — powiada — zajmują się raczej rzeczami, nie ludźmi; on przeciwnie, daje obrazy swoje „bez węzłów", bez szczegółów, które ludzi otaczają; pokazywać będzie tylko ludzi, nawet bez nazwisk". Jak zobaczymy niżej, nowele Tyszyńskiego będą próbami powieści psychologicznej. Niewątpliwie tego zwrotu do psychologji dokonał pod wpływem utworów Ludwika Sztyrmera, który dał się już wtedy poznać pod pseudonimem Eleonory Sztyrmer.

[2]) Tyszyński ogłaszał wtedy utwory bezimiennie. Na karcie tytułowej „Moreny" oznaczono: „przez autora „Amerykanki w Polsce". Książka wyszła nakładem księgarza Gosława Sennewalda (ul. Miodowa). Str. 150.

[3]) Wiersz ten ogłoszony został w nr. 6 „Myśli Narodowej" z r. 1925.

II

W pierwszej noweli p. t. „Zaprzaniec” autor demonstruje dwie osobistości: idealistę Arysta i — powiedzmy krótko — cynika, Edwina. W jaki sposób to robi? W pierwszym obrazku pokazuje ich dwu w stosunku do przyrody, w czasie burzy, w drugim obrazku demonstruje ich stosunek do sztuki, potem do swoich przeżyć, następnie ich różne typy miłości w stosunku do kobiety i t. d. Przypatrzmy się drugiemu obrazkowi, jest on bardzo charakterystyczny dla owych czasów, które w stosunku człowieka do sztuki widziały probierz jego idealizmu.

Aryst jest malarzem, portretuje jakiegoś obywatela, tępego na punkcie sztuki realistę. W pracowni obecny jest Edwin, lekceważący sztukę, przenoszący nad jej zagadnienia samo życie; patrzy też przez okno, uganiając się okiem za kobietami. Portretowany „burżuj”, mówiąc po naszemu, prosi malarza, aby portret był „trafny”. Malarz odpowiada, że rysy będą trafne, bo są wydatne.

— „Co to są rysy wydatne?

— Rysy wydatne są te, które uczucia moralne nam wyobrażają dobitnie.

— Moje rysy są mi więc moim dowodem: są wydatne, bo są skutkiem uczuć niesłabych. Uczucia moje nie są to uczucia dzisiejsze — mgliste, ulatające i mylne. Uczucia moje są to uczucia silne, bo idą z ziemi, z której i ciało. Żadna nauka, lub — jak to dziś mówicie — wiedza nabyta, ulotna, chwytana, niepewna, nie była tych uczuć źródłem”.

A potem o pięknie była mowa; brał w niej udział i Edwin także. Co rozumieć przez piękność w sztuce? Aryst tak rzecz wykładał:

— „Piękność w sztuce stanowi sztuka. Piękność nie jest to kształtność, foremność, blask, równość; piękność jest to właściwość wrażenia. Miara wrażenia dzieła jest miarą jego piękności... Piękność w sztuce jest raczej jej wewnętrzem, nie zaś zewnętrzem... Piękność w dziele jest to, rzec można, dusza — nie ciało dzieła. Tak właśnie — jak w pociągu ku utworom żyjącym, w tym pociągu, którego imieniem jest miłość, przedmiot jego stanowi rodzaj, nie warunkowość”.

Potem myśl uzupełniał:

— „Wrażenie piękna jest to uczucie względne, od umysłu, który sądzi, zależne. Dostrzeżenie w przedmiocie danym pewnej jednozgody wewnętrznej, pewnych pokształceń, odcieni, stwarza w nas pewien pociąg duszny, silniejszy. Piękność obrazu uczuć może jedynie znawca”.

Z tego widzimy, że Aryst daje wyraz poglądom Tyszyńskiego na sztukę: kryterjum wartości dzieła leży w poczuciu indywidualnem odbiorcy. To jest piękne, co się podoba, oczywiście z zastrzeżeniem znawstwa.

Poglądem tym różnił się Tyszyński od Norwida, który dążył przez sztukę do zdobycia prawdy absolutnej, do tego, co być pięknem powinno. Ale w tej chwili interesuje nas strona historyczna ówczesnych potrzeb umysłowych. Bo czyż te sceny w pracowni nie przypominają djalogów w „Promethidjonie”? Zagadnienie piękna i sztuki będzie za parę lat jedną z głównych tez „Poganki” N. Żmichowskiej.

Wróćmy jeszcze do pracowni. Po wyjściu klijenta następuje scena między przyjaciółmi (z kontrastu) Edwinem i Arystem. Edwin pragnie być portretowanym i nagle zapytuje:

— Co chcesz za spalenie obrazu?

Powiedział to, jak obłąkany. Istotnie autor chce pokazać na nim, że zwątpienie o duchu prowadzi człowieka do rozkładu. Pokazuje się, że Edwin, w dążeniu do użycia fizycznego, pije i teraz jest pijany. Zanotujmy jednak nawiasem ów motyw spalenia portretu, bo on potem będzie nam potrzebny przy czytaniu „Poganki”.

Nowela „Zaprzaniec” to studjum psychologiczne nad ginącą duszą zaprzańca Edwina. Aryst widzi w nim błyski dawnej świetności, kiedy dusza Edwina „była wprost ze sfer nadziemskich, wprost [bez udziału ziemi] tym sferom oddana, w nich bujająca“. Od pewnego czasu działy się z nim rzeczy dziwne: potrochu opanowywała go ziemia swemi ponętami zmysłowemi. Ginął w oczach, staczając się w cynizm. Przyczyną był silny wstrząs spowodowany zawodem miłosnym. Miłość, jako namiętność, stała się powodem jego nieszczęścia.

Jest to ten sam los, który spotkał bohatera „Poganki“ Benjamina. Aryst brał ginącą duszę na próbę, czy potrafi jeszcze wspominać dobro, które mu dała przeszłość w rodzinie. „Edwin był odstępcą kraju myślenia“... Stawał się podobny z braku polotu do owego klijenta portretowanego. „Obojętność, widomość, zmyślność stały mu się treścią, zasadą, celem myślenia i kroków“.

Pewnego razu Aryst, gdy siedzieli w Saskim ogrodzie, „wspomniał o swem dzieciństwie, o sercach, które kochał, jakieby kochać pragnął“. Edwin był wzruszony, „pragnął także o przeszłości swej mówić, o rodzicach, o sercach, które znał bliżej, czy kochał — i błąkał się“. Opisywał powrót ze szkoły do domu, wypadek śmierci, który pierwszy raz widział...

Ten motyw wspominania, ustalania z przeżyć świadomości uczuciowej, jak rozległe było z przyrodzenia i wychowania pole miłości, które namiętność zwęziła, przyprawiając duszę o bankructwo, — ten motyw wejdzie jako zasadnicze tło do opowiadania Benjamina w „Pogance“. Likwidacja moralności Edwina szła tak daleko, że gdy razu pewnego Aryst zapytał, co uczynić gdy przez rozrzutność znajdzie się człowiek bez grosza, odpowiedział „wziąć“ (ukraść). A gdyby czyjeś życie było zawadą?

— „Wziąć — odpowiedział podobnie i uśmiechnął się nie dziko, lecz słodko“.

Edwin ożenił się dla kaprysu zmysłów z nierządnicą. Spotkał go ciężki cios z tego powodu. W rozpaczy ulega wyrzutom sumienia.

— „Trupie skorupy rzeczy nikłe są, myśl tylko, lecąca w górę, wieczną jest... O kraju myśli! Jam chciał bluźnić, zapomnieć, rzucić cię, a tyś jeden szczęściem — bez śmierci“.

Kończy się straszną śmiercią — ciała Edwinowego. Nad umierającym stoi idealna para małżeńska, Aryst z żoną. Edwin przed utratą przytomności mówił:

— „Od rodziców wyklęty, przez cały świat odepchnięty, nie chcę wracać do świata“...

Obudziwszy się, zapłakał łzami. „Nastąpiła chwila milczenia, jakby przeleciał Anioł“. Przy śmierci było troje ludzi, których autor tak prezentuje:

— „Ten pół-starzec, który tak zimno patrzył na zimne ciało, który się jego konaniu, ani skonaniu nie dziwił, był to Ernest [ów portretowany jegomość realista], przyjaciel ciała, płód moralny ostatków wieku zeszłego — mniej wiary, albo mniej wiedzy. Ten wieku średniego człowiek, trzymający w ręku małżonkę młodą, a oczy bladego lica wznoszący w niebo, to był Aryst, wyznawca ducha i duszy. Ten trup z zeszpeconą twarzą, z twarzą, w martwości jeszcze noszącą ślad męki myśli, burz myśli i zgryzot myśli, — to był Zaprzaniec“.

Bardzo ciekawe jest w tym symboliczyym obrazie to poczucie wyższości nowych czasów, idealistycznych nad wiekiem XVIII. Poganka Żmichowskiej skona w sposób jeszcze bardziej ponury i nagły.

III

Dla wyjaśnienia systemu pojęć psychologicznych Tyszyńskiego, trzeba dodać, że widział on w duszy trzy pierwiastki: ciało, myśl i d u c h a. Rola myśli, której się zaparł Edwin, była światłem duszy (oświeconej), ale siłą organizującą duszę był d u c h, mający siedlisko w sercu i będący łącznikiem między ciałem i myślą. „Z serca płyną takie lub inne myśli, takie lub inne uczynki. Jest na dnie serca d u c h o g ó l n y, który w jednostce każdej ma jednostkowy swój odcień [„jednostkowa miłość“ u Żmichowskiej], lecz w gruncie jeden jest [t. zn. jest cząstką ducha powszechnego]. Ten sprawia, iż każde zdanie myśli, która jest prawdą, dla każdego widzi się prawdą, iż co rzetelnie jest pięknem, dla każdego widzi się piękne... To jest z pewnością prawdą, z pewnością piękne, co s a m i p r z e d s o b ą m a m y r z e t e l n i e za prawdę, mamy za piękne“ [4]).

Norwid wierzył, że przez piękno dojść można do prawdy bezwzględnej i szczęścia. Tyszyński uważał, że „kraj myśli” jest jedyną nieśmiertelnością ludzkości. Żmichowska widziała ten kraj w „kochaniu”.

W następnym utworze p. t. „Prospera” Tyszyński wystawia na pokaz pannę, która zmarnowała dary serca, nie idąc za jego popędem. Ulegając utartym wulgarnie pojęciom o szczęściu ziemskiem, wzgardziła związkiem z uduchowionym człokiem, aby oddać rękę bogatemu pospolitakowi. Rzecz interesująca nas z tego względu, że noweli tej autor nadał formę spowiedzi z życia. Prospera opowiada przyjaciółkom w ten sposób, jak Benjamin w „Pogance” swoim przyjaciołom, dzieje swego dzieciństwa i młodości, a ta autobiografja jest analizą psychologiczną bohaterki.

Oryginalniej pomyślany jest trzeci utwór p. t. „Zymio”. Jest to, jak go autor nazwał, „obraz w czterech chwilach”. Na wstępie i nad finałem autor wstawił dwa „nadziemia”, sceny poetyckie, rozgrywające się „między chmurą a ziemią”. Rozmawiają między sobą gwiazdy o losach człowieka, snują się „duchy”. Jedna z gwiazd ma w opiece losy murzyna imieniem Zymio. Jest on gdzieś na północy niewolnikiem w służbie u bogatej damy, wielkiej urody, złowieszczo igrającej sercami. Pociągnięta męską urodą negra, przeniosła go do pałacu i uczyniła go kamerdynerem — i kochankiem. Murzyn płonął wielką miłością, aliści zjawił się jakiś książę, któremu piękna pani oddała serce. Murzyn dostał obłędu i odebrał sobie życie.

Demonizm wielkiej pani, pogańskie traktowanie spraw miłosnych, sposób w jaki postąpiła z murzynem — wszystkie te pomysły odnajdziemy w „Pogance”. Nawet taki właśnie murzyn-kamerdyner stoi u drzwi Poganki.

Nie może ulegać żadnej wątpliwości, że Żmichowska czytała „Morenę”. Utwory Tyszyńskiego mogły nie zyskać powodzenia w szerszych kołach czytelników, ale to pewna, że żywo zainteresowały entuzjastów ówczesnych zarówno swojemi tematami filozoficznemi, jak i nowatorstwem formy literackiej. Za miarę wrażliwości tej grupy możemy uznać Edwarda Dembowskiego. Z recenzji, którą zamieścił w swojem piśmie [5]) wnosić można, że całe koło, a więc i Żmichowska, przyjęło „Morenę” z entuzjazmem. Oto parę zdań z tych recenzyj:

„Powieści blade” napisane ognisto, dzielnie, są wypływem najczystszego natchnienia, które idealizując świat rzeczywisty, wznosi je do prawdziwej poezji”.

„Wykonanie najpoetyczniejsze; ciągła miłość całej ludzkości i dążenie ku wzniesieniu ducha a pognębieniu zmysłów są głównemi znamionami tych uroczych utworów, których nie znać, nie zgłębić i nie wielbić nie godzi się”.

„Tych cudownych powieści przekład na niemiecki wkrótce się rozpocznie”...

Skoro Dembowski tak książkę zalecał, to oczywiście była ona w ręku każdego w Warszawie pisarza, a zwłaszcza entuzjasty. Na zebraniach u Skimborowicza, który był redaktorem miesięcznika, gdzie tak „Morenę” witano, rzecz prosta gruntownie nowele Tyszyńskiego i jego tezy roztrząsano. I to widać w „Pogance” przedewszystkiem, gdzie łatwo odnaleźć momenty wzięte od Tyszyńskiego. Żmichowska miała większy talent poetycki, ale nie była tak samodzielna w budowaniu światopoglądu. Tyszyński podsunął jej swój kąt widzenia i ośmielił do przedsiębrania kompozycji na dużą skalę. Tyszyński był autorytetem.

IV

Zanim przejdę do Żmichowskiej, zanotuję jedno tylko spostrzeżenie w związku z owem dążeniem (które podkreślił Dembowski) „ku wznoszeniu ducha i pognębianiu zmysłów”. Nadzwyczaj korzystny dla kultury duchowej ruch idealistyczny w ówczesnym okresie romantyzmu, przez reakcję do dawnych poglądów na moralność, zaczynał nabierać barw średniowiecza. Entuzjazm dla spraw ducha łączył się z surowością potępienia wszystkiego, co ograniczało się życiem zmysłów, z „pognębianiem” ciała. Jest to rys bardzo charakterystyczny ówczesnego światopoglądu, dla nas przy bliższem wejrzeniu tembardziej interesujący, że znowu widzimy w tem zjawisko, jak swoiście umysłowość warszawska, bądź co bądź jeszcze surowa w rzeczach filozofji, łączyła z idealizmem metafizycznym swoje poglądy chrześcijańskie, a nawet drzemiące w głębi duszy stare, czerpane z duszy ludu, wierzenia. Nawet u filozofa Tyszyńskiego postać poetycka rozkładu duchowego przybiera wyraźne cechy opętania. U Żmichowskiej, jak zo-

[4]) Por. Piotr Chmielewski w przedmowie do dzieła: Al. Tyszyński „Pisma artystyczne”, Kraków, 1904, tom I, s. XXXVII.

[5]) „Przegląd naukowy” 1842, t. II, 721 — 722.

baczymy, demonizm będzie miał już naturę czarownictwa, jej bohaterka wkońcu okaże się wiedźmą. Podlasianka Żmichowska była bardziej rodzima. Mazurski pierwiastek nie poddawał się całkowicie filozofji, nie zdawał się na jej łaskę i niełaskę. I to właśnie było dowodem żywotności prac duchowych, oznaką głębokiej orki kulturalnej.

Studjując utwory literackie, tak pozornie błahe, jak powiastki Tyszyńskiego czy Żmichowskiej, docieramy do głębokich źródlisk umysłowości tego czasu, a nawet do psychiki narodowej. Jesteśmy tutaj obserwatorami nietylko formowania się poglądów ideowych, ale także charakteru kultury i zasadniczych właściwości rasy.

Mówi się często o związku literatury z życiem, ale przecież trzeba gdzieś ten związek na gorącym uczynku schwytać. Nie wystarczy bowiem wykazać w powieści, poezji, czy dramacie, że autor zajmuje się zagadnieniami temi samemi co publicystyka. Sprawa jest głębsza, szukać trzeba tego związku w psychice autorów i w ich pracy duchowej. Chodzi o to, jak wyglądają sami autorowie w swojem wnętrzu; mogą nie poruszać tematów społecznych — załatwią je inni; nam chodzi o psychikę pisarza, bo tylko tędy możemy dotrzeć do głębi psychicznej narodu.

Mówi się np. o powołaniu dziejowem Warszawy i wogóle Mazowsza; zastanawia nas zjawisko psychiczne, zostawiające po sobie dokumenty w czynach historycznych, że myśl tej części kraju, że instynkty tego siedliska tak korzystnie wyróżniają się zdolnością obejmowania całości spraw narodowych, że stają się życia narodu ogniskiem, że mają jakąś zdolność łączenia syntetycznego porywów idealistycznych z psychiką walki i pracy od postaw. Jeżeli te spostrzeżenia mają jakąś podstawę, to można i należy tę podstawę psychiczną wynaleźć w literaturze. Jeżeli to się nie uda, to jedno z dwojga: albo to spostrzeżenie jest nieprawdziwe, albo nie mamy literatury prawdziwej, takiej, która wypływa z treści duchowej bytu. Wszystko jedno czy ta literatura jest wielka czy niska wyrostem artystycznym — chodzi o źródła jej, tkwiące w potrzebie i żądzy wypowiedzenia prawdy o życiu i jego ideale.

Mojem zdaniem możliwości twórcze Warszawy (XIX w.) były znaczne; literatura, acz niepokaźna, była prawdziwa. Ona istotnie coś wyrażała, mianowicie nieuchwytny proces organizowania się duszy na modłę uświadamianych w danym czasie ideałów.

Owe czasy lat 40-ych były przez to ciekawe, że zajmowały się filozofją, a więc można powiedzieć — świadomością świadomości i że przedmiotem tej filozofji było życie idej. Zajmowano się wiekuistem zagadnieniem najwyższego kompleksu ideałów — dobra, prawdy i piękna. W oczach jednych ludzi streszczały się one w jedność w pojęciu dobra, u innych — w pojęciu piękna, to znów — w pojęciu prawdy. Każdy wykładał w swem widzeniu swoje marzenie o szczęściu: o szczęściu swojem i swego narodu.

Sprawdzając swoje zdolności widzenia i osiągania ideału, pracowali przez to samo nad psychologją. A to przechodzenie od filozofji do psychologji jest oznaką przechodzenia myśli od mistycyzmu do realizmu, gdzie miarą rzeczy staje się człowiek ze swoją ograniczonością środków psychicznych osiągania ideału.

Psychika jednostki jest trójwymiarowa: osobno osiągać może rzeczy zbliżone do ideału piękna, inne władze zaprzęga świadomość do zdobywania dobra, inne zaś — do badania prawdy [6]). Człowiek właściwie dąży nie do ideału absolutnego, lecz do ideału człowieka, który łączy w sobie harmonijnie te trzy dary dochodzenia owego trój ideału. Będzie to genjusz, człowiek wieczny.

Otóż w owej epoce zachodziły coraz większe rozbieżności między takimi przedstawicielami myśli, jak Norwid, który był mistykiem, wyznawcą prawdy bezwzględnej przez piękno — a takim Tyszyńskim, który, jak widzieliśmy, propaguje zasadę piękna, jako miarę względną tego, co się nam podoba. Między temi dwoma typami myślenia widzimy Narcyzę Żmichowską, stojącą na pograniczu. Tyszyński zachwiał w niej wiarę w osiągalność bezwzględnego ideału. Ale gdy Tyszyński pojednany był filozoficznie z tym stanem rzeczy, to Żmichowska widzi w tym tragizm życia: że to dążenie jest koniecznością i że jest nieziszczalne.

ZYGMUNT WASILEWSKI

---

[6]) Obszerniej wyjaśniałem ten stosunek ideałów do psychiki w „Norwidzie" (rozdział „Estetyczny stosunek do świata", od str. 29).

O KATOLICKĄ POSTAWĘ WOBEC ŻYDÓW

(Dokończenie)

III. OSTATECZNE WNIOSKI

Kościół katolicki nie pozostawił bez odpowiedzi pytania, jaka ma być postawa katolików względem żydów; odpowiedź ta, jak z powyższego traktatu łatwo można się przekonać, jest aż nadto wyczerpująca i jasna. Wymowne świadectwo jej wartości daje ks. Kohn, Arcybiskup Ołomuniecki, żyd, wnuk żydów-neofitów. Pisał o tem cytowany Auzias Turenne w roku 1893:

„Środki zapobiegawcze narzucają się krajom, które nie chcą, aby nadal być miały pożerane przez synów Izraela. Jedna cytata w tej sprawie nam wystarczy. Jeszcze nie upłynął rok, jak ks. Kohn, profesor teologji, wnuk chrzczonych żydów, został arcybiskupem w Ołomuńcu. Pytano się nie bez pewnej dozy złośliwości, jakie będą sposoby postępowania i zarządzenia nowego arcybiskupa w stosunku do żydów, jak wiadomo, tak licznie zamieszkałych w Austro-Węgrzech. Tytułem odpowiedzi — przytoczył on wyjątek z kursu prawa kanonicznego, które wykładał w latach 1891 do 1892".

Czytamy tam, co następuje: „Chrześcijanie nie jęczeliby dzisiaj pod uciskiem żydów, jeśliby zachowali przepisy Kościoła dotyczące ich stosunku do żydów. Kościół zawsze względem nich był tolerancyjny, bronił ich nawet, ale nigdy nie godził się z tem, aby chrześcijanie współżyli z żydami na doskonale równej stopie i we wspólności absolutnej", poczem przypomina arcybiskup Kohn różne środki, głównie Kanony wyżej przytoczone, podaje ich streszczenie i wysnuwa taki wniosek: „Prawa te jeszcze dzisiaj zachowały moc obowiązującą, jak

to wynika z odpowiedzi Stolicy Apostolskiej Episkopatowi Galicji w roku 1861".

Jeśli przyjrzeć się postanowieniom Soborów, zdaniom Ojców Kościoła, teologów katolickich, Papieży, to postanowienia te charakteryzuje dążność odcięcia środowiska aryjsko - chrześcijańskiego od wpływów żydowskich zarówno w dziedzinie duchowej, jak materjalnej, oraz zasadnicze odrzucenie zasady równouprawnienia żydów. Tych ostatnich zalecone jest uczynić nieszkodliwymi, wyrywając im złoto i wpływy, zakazując chrześcijanom obcowania z żydami i stosunków z nimi, a żydów odosobniając, zapędziwszy ich do ghetta. Brak zaufania do potomstwa żydów, nawet chrzczonych, jak zresztą sama logika postępowania Kościoła, wskazuje na to, że — traktując o żydach — Kościół mówi o żydach poczęści także z punktu widzenia plemiennego, a nie jedynie i wyłącznie — wyznaniowego (chodzi Kościołowi mianowicie o zabezpieczenie się przed fałszywymi chrześcijanami, jakiemi byli np. hiszpańscy *marrani*).

Chrześcijańskie narody i ich panujący, zwłaszcza od czasów tak zwanej „reformacji", zbawiennemi przepisami i postanowieniami niemal stale gardzili, lekceważyli je i przestępowali. Żydzi odnosili triumf za triumfem, ich dążenia imperjalistyczne prawie nie napotykały przeszkód [1]).

Chociaż odbiegniemy nieco może od właściwego tematu, nie możemy tutaj nie wskazać charakterystycznego faktu, a nawet kilku takich faktów: epoka średniowiecza szczególnie jest piętnowana, jako czas i okres w całem tego słowa znaczeniu barbarzyński, jako panowanie ciemnoty i ciemności; w tej właśnie epoce Kościół katolicki cieszył się bardzo wielkim autorytetem nietylko w dziedzinie wiary, oraz moralności, ale również polityki, kwestji społecznej i ekonomji; on był jedyną instytucją świadomą niebezpieczeństwa grożącego ze strony żydów; tem się bodaj tłumaczy oszczercza kampanja, jaką żydzi, masonerja i uzależnione od nich sfery i jednostki wytoczyły średniowieczu. Znana jest każdemu, kto osiągnął pewien poziom wiedzy — zaciekła nienawiść, jaką żydzi i ludzie, pozostający pod ich wpływem, darzą Inkwizycję; nienawiść ta tłumaczy się również faktem, że Inkwizycja hiszpańska, zorjentowawszy się w tem, co grozi Hiszpanji ze strony fałszywie nawróconych na katolicyzm żydów—rychło położyła kres machinacjom i zakusom „katolickich" żydów, oddalając dzisiejsze palenie kościołów i klasztorów w Hiszpanji o zgórą 400 lat.

Również znana jest niechęć i wzgarda, jaką żydzi i ludzie, pozostający pod ich wpływem, żywią względem ogłaszanego przez Kościół „Indeksu Ksiąg Zakazanych". Stosunek ten do Indeksu i jego Św. Kongregacji tłumaczy się faktem, że Indeks ów stanowi pewną tamę penetracji idej zgubnych dla katolików, czem psuje „robotę" żydom i wolnomularstwu.

Zatem narody europejskie mają do wyboru: albo trwać dalej w zależności od żydów, albo jarzmo ich zrzucić i stać się wolnemi. Obierając tę drugą alternatywę, narody te muszą zastosować się do zapomnianych a zbawiennych przepisów Kościoła katolickiego, powracając — nie wahamy się tego jasno i bez obsłonek powiedzieć — do praw średniowiecza i nawet do Inkwizycji.

[1]) Czyt. dwa kapitalne dzieła R. Lambelin *„L'impérialisme d'Israel"* i *„Les victoires d'Israel"*.

Przyznać trzeba, że i meta odległa i droga daleka, trudnościami mnogiemi najeżona, ale to jest nieodłączne od dążenia drogą przykazań Boskich i Kościelnych.

Nie jest to bynajmniej mrzonką—osiągnięcie emancypacji z pod jarzma żydowskiego, przeciwnie—jest to zupełnie realną możliwością, trzeba jej tylko chcieć. Rzućmy okiem na dzisiejsze Niemcy, a przekonamy się, że tam nie wolno żydom: zajmować stanowisk w urzędach publicznych, czyli państwowych i samorządowych i innych, a więc żydzi nie mogą być sędziami, rejentami, posłami, senatorami, członkami rad miejskich, profesorami, nauczycielami, technikami, urzędnikami w bankach państwowych; wykluczeni są zupełnie z wojska: nie wolno im nawet w charakterze szeregowców służyć, dotyczy to i marynarki; nie wolno żydom być artystami scenicznymi czy filmowymi; nie wolno nawet wyświetlać filmów, gdzie występują artyści czy artystki narodowości żydowskiej (zakazano naprzykład wyświetlania filmu „Bokser i kobieta", gdzie bohaterem-uwodzicielem kobiet aryjskich był żyd Max Baer, występujący w roli boksera). Wszyscy lekarze-żydzi zostają usunięci z kas chorych, adwokaci-żydzi tracą prawo do wykonywania swego zawodu, o ile ich klijentami są aryjczycy. Z redakcyj pism przeznaczonych dla rdzennych Niemców — żydzi zostali powyrzucani. Zabronione jest zakładanie szkół żydowskich; do uniwersytetów żydów przyjmuje się minimalny odsetek, przyczem na fakultet medyczny dostęp żydom zakazany zupełnie. Żyd nie może być właścicielem nieruchomości, ani ich dzierżawcą, żydom nie udziela się koncesyj na handel domokrążny, jarmarczny, szynki i restauracje. Instytucjom publicznym nie wolno czynić zakupów w sklepach i składach żydowskich. Żydzi nie mogą korzystać z ulg podatkowych i celnych; istnieje projekt, że żydzi, jako element napływowy, korzystający z gościny narodu niemieckiego — mają płacić większe podatki. Ubój rytualny, jako barbarzyński i okrutny sposób zabijania zwierząt i ptactwa (t. zw. *„szechita"*, jest zakazany. Żydom nie wolno posiadać broni; wszelkie organizacje umundurowane w rodzaju „przysposobienia wojskowego" i tym podobne, jak „Brith Trumpeldor", „Brith Hachajał" i inne— są, rzecz prosta, w Niemczech nie do pomyślenia. Nie wolno udzielać gminom żydowskim subsydjów z funduszów publicznych. Małżeństwa mieszane są uznane za nieważne. Place i lokale publiczne nie mogą być odnajmowane na żydowskie cele społeczne. Żydowskie stowarzyszenia sportowe nie mogą korzystać z boisk publicznych. Bibljotekom publicznym nie wolno posiadać książek autorów żydowskich dla wypożyczania tych dzieł szerszemu ogółowi; wypożycza się je tylko osobom upoważnionym i to dla celów naukowych. Bibljotekom publicznym nie wolno zatrudniać żydów w charakterze bibljotekarzy i pracowników.

Jeżeli teraz porównamy nakazy Soborów i rady teologów katolickich, Ojców Kościoła, Papieży z rozporządzeniami władz niemieckich w stosunku do żydów, to łatwo możemy się przekonać, że Niemcy świadomie czy nieświadomie postępują z żydami właśnie w myśl Kanonów Soborów.

Jak wynika z postępowania Kościoła, zna on dobrze żydów, tak dobrze jak może nikt inny.

Istotą nauki Kościoła jest zasada miłości Boga i bliźniego; miłości bliźniego Kościół zaś nigdy nie nauczał w sensie nawoływania katolików do kapitulacji i do szanowania cudzych przekonań bez względu na ich niemoralność, oraz do zrzeczenia się obrony swych słusznych praw wobec zamachu na nie ze strony ludzi złej woli; owszem, dla obrony swego zdrowia i życia—pozwala wszak etyka katolicka na użycie środków nawet gwałtownych, naprzykład użycia broni. Tembardziej dla ochrony zdrowia swej duszy etyka katolicka nakazuje unikać ludzi złych, zakazuje stosunków z nimi, jeśli ci ludzie są nam zgorszeniem, jeśli wpływ ich jest zgubny.

Zatem nie można nazwać nieetycznem lub przeciwnem miłości chrześcijańskiej bliźniego, rozporządzenia austrjackiego ministerjum oświaty, nakazującego młodzież żydowską trzymać w szkołach oddzielnie od młodzieży chrześcijańsko-aryjskiej [2]).

Zatem konsekwentną katolicką postawą wobec żydów powinna być dążność do zupełnego wyzwolenia się z pod żydowskich wpływów i do wyrzucenia żydów poza nawias życia nieżydowskiego. Należy przytem pamiętać, że żydem nie jest tylko żyd-talmudysta, ale człowiek należący do narodu żydowskiego bez względu na wyznanie religijne, to znaczy w rozumowaniu naszem o tych kwestjach — żydowi należy przeciwstawiać nie katolika, prawosławnego, czy protestanta, ale Polaka, Rosjanina, Niemca, Anglika i t. d.

Streszczając się, powtarzamy słowa Ks. Arcybiskupa Kohna: „Gdyby chrześcijanie trzymali się nakazów Kościoła w sprawie żydowskiej, to nie jęczeliby dzisiaj pod jarzmem żydów”.

Czy takie nasze stanowisko w kwestji żydowskiej jest „asemityzmem”, czy „antysemityzmem”— to mało nas obchodzt; dla człowieka, który myśli i czuje samodzielnie, wyraz „antysemityzm” jest równie rzeczowem i spokojnem słowem, jak naprzykład antyalkoholizm. To drugie słowo dąży do usunięcia alkoholu ze spożycia, zaś to pierwsze — do usunięcia żydów ze społeczeństw aryjskich, ot i wszystko. Zaś wyraz „asemityzm” praktycznie w swej treści najzupełniej jest jednoznaczne ze słowem „antysemityzm”, bo jeśli nazwiemy np. „*numerus clausus*” czy inne najgodziwsze ustawy, spółdzielnie, kółka rolnicze i tak dalej—zmierzające do unarodowienia życia polskiego—asemickiemi („bez żydów”), zmiarzają one tem samem do wyparcia żydów, zatem są przeciw żydom działające, czyli antysemickie. Pocóż mamy się łudzić, oczy sobie mydlić, do żydów słodko się uśmiechać i udawać, że to nie jest „anty”, tylko „a”, skoro tak samo dla żydów, jak dla Polaków treść pozostaje niezmienna? Bądźmy dosyć odważni i szczerzy, by myśleć ściśle i każde pojęcie nazywać właściwem mu imieniem.

STANISŁAW KOWALSKI

[2]) Pod wpływem wrzasku żydów z tego powodu—rząd austrjacki gęsto tłumacząc się wobec Kahału, rozumne to zarządzenie zaczął modyfikować, co z trjumfem obwieściła prasa żydowska.

O MISTYCYZMIE NORWIDA

PRZYZWYCZAILIŚMY się od lat kilkudziesięciu nazywać Norwida mistykiem. Już autorzy pierwszych sylwetek pośmiertnych szermowali nadmiernie tem określeniem, choć ani oni, ani nawet badacze dzisiejsi nie dają bliższych wyjaśnień co do owego mistycyzmu, nie ustalają jego istoty, nie zakreślają granic, nie doszukują się źródeł.

Kwestja to bezwątpienia ciekawa i ważna. Przesmycki powiada gdzieś [1]), że mistycyzm Norwida „stanowi podłoże całej myślowej i twórczej odrębności poety”. Trzebaby więc zagadnieniem tem bliżej się zająć i zbadać je na szerokiem tle porównawczem, tak, jak to zrobił Pawlikowski z mistyką Słowackiego.

Ustalenie lektury Norwida — od Platona i Tertuljana do Cieszkowskiego i de Maistre'a — porównanie jego poglądów z poglądami Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego (z którymi żywem słowem ścierał się nieraz w tych sprawach), wreszcie dokładna analiza pozostałych po nim pism poetyckich i filozoficznych, notatek i listów, a także świadectw i wspomnień jego przyjaciół i znajomych — oto etapy przyszłych badań na tem polu, badań, które dopiero pozwolą powiedzieć coś głębszego i wartościowego o tej stronie norwidowego ducha.

Rzeczą wielkiej wagi dla tych dociekań będzie sumienna charakterystyka religijności poety, jego stosunku do katolicyzmu i do wielkich prądów mistycznych, które pulsowały właśnie w epoce, w której żył i tworzył.

Badając mistycyzm Norwida, będziemy musieli interesować się nietylko wiarą poety w możliwość kontaktu z wyższym porządkiem rzeczy, w możliwość bezpośredniego związku z podstawową zasadą bytu, z bóstwem, ale i wszystkiemi środkami, prowadzącemi do nawiązania tego kontaktu i do osiągnięcia poznania wyższego, niż normalne, ziemskie.

Zanim będzie można zabrać się do formułowania praw ogólnych, należy opracować zagadnienia drobniejsze, wskazać nowe tematy, posegregować materjał.

Niniejszy szkic chce właśnie rzucić nieco światła na parę takich zagadnień, które dotychczas nieopracowane i mało znane, dostarczają jednak doskonałego komentarza do wielu pism Norwida i do wielu rysów jego psychiki.

Będzie tu mianowicie mowa o stosunku poety do świata duchów (a jednocześnie o jego teorji bytu pośmiertnego duszy), dalej o istocie i sposobie jego objawień, wreszcie o znaczeniu powinowactw mistycznych i treści utajonych w jego życiu i filozofji.

I

Nieśmiertelność duszy — pojęcie tak ważne we wszelkich teorjach mistycznych — była dla Norwida dogmatem niezachwianym, co więcej,

[1]) W przypisach do „Poezyj wybranych” (1933), na str. 536.

dogmatem wiecznie przytomnym jego pamięci, zapładniającym myśli i umacniającym ducha.

Pytanie teraz ważne: jak poeta zapatrywał się na losy dusz bezcielesnych, dusz, które opuściły ciało po jego śmierci?...

Pierwsza dała na to odpowiedź pani Walerja Marrené-Morzkowska[2]). Według jej przekonań: „Norwid i wielu innych, a pomiędzy nimi Słowacki, wierzyli, iż duchy wcielały się wielokrotnie". Morzkowska nie mówi jeszcze wyraźnie, czy myśli o metampsychozie, czy tylko o reinkarnacji, dopiero prof. Cywiński bardziej precyzuje swoje stanowisko w tej sprawie, pisząc[3]): „W listach jego i wierszach znajdujemy dość wyraźne wskazówki, że Norwid był zwolennikiem reinkarnacji, nie metampsychozy jednak, przed którą się wyraźnie zastrzega...", a dalej nieco: „rzeczą jednak nader charakterystyczną jest, że wszystkie wzmianki powyższe odnoszą się do lat 1845 — 1854; w późniejszych utworach Norwida nie zdarzyło mi się czegoś podobnego spotkać. Prawdopodobnem się tedy wydaje, że Norwid wiary w reinkarnację zaniechał".

Co do mnie, ośmielę się utrzymywać, że pierwszy i jedyny dowód wiary poety w reinkarnację pochodzi z r. 1846, i że wszelkie pozostałe przykłady można interpretować w sensie zupełnie odmiennym, a mianowicie jako dowody wiary Norwida w jego bezcielesny powrót na ziemię, w powrót jego ducha jedynie.

Owa jedyna pewna (a raczej prawdopodobna) wzmianka o reinkarnacji znajduje się w liście do panny Trembickiej. Poeta stara się przekonać swoją „drogą kuzynkę":

„że niejeden na świecie raz żyjemy. Lubo pewną jest rzeczą, że kto jednego z tych skonań mimowolnych znieść przykładnie nie umiał, ten już na nowo nie odżyje. To byłoby okropnem, ażeby dusza i uczucie tak wylewało się do głębi, jak płyn z czary rozkoszy".

Już jednak w parę lat później tworzy sobie Norwid nową koncepcję o pośmiertnym bycie ludzi, koncepcję, którą z niewielkiemi zmianami utrzyma do końca życia. Dokładny jej obraz znajdziemy w interesującym djalogu p. t. „Ruiny", w którym toczy się dyskusja między Markiem, zwolennikiem metampsychozy, a Wiesławem, reprezentującym poglądy samego poety. Według poglądów Marka „za pokutę duch się z właściwą sobie formułą i ciałem spotka w ciągu stworzenia". Po śmierci człowieka

„— ciało tylko się otwiera
Niby trumna — następnie duch, wedle zasługi
Zstępuje lub wstępuje wyżej albo niżej —
Cały ciąg przyrodzenia, ilekolwiek długi,
Służy ku temu — formy są jak mnogość krzyży
Lżejszych lub cięższych — w roślin przechodzi formułę
Wegetujące martwe serce — więcej czułe
Przechodzi w formę ptaka, mniej czułe w minerał,
Jak żył duch, tak się będzie nareszcie ubierał —
Acz są i wyższe sfery —"

Wręcz przeciwne są poglądy Wiesława — Norwida. Duch po śmierci ciała nie znajduje innej powłoki na ziemi, nie staje się zwierzęciem, nie przybiera ponownie ludzkich kształtów, lecz wzniesiony ponad ciało, jakgdyby nad mogiłą samego siebie przebywa i pokutuje tak, obserwując losy swych ziemskich myśli i czynów, bo

„— co złe z nas zostaje,
To w ustach złych w siedemkroć wraca i powstaje;
My zaś cierpim, czekając, aż w lepsze się zmieni
Przez lepszych — my rzucamy tu mnóstwo promieni
Krzywych lub prostych — dobrzy, te zebrawszy drugie,
Pracują, by odprościć pierwsze i zasługę
W tem mają".

Konieczna więc jest współpraca ze zmarłymi, obcowanie z ich spuścizną duchowa, z tem wszystkiem, co było w nich dobre i szlachetne, z nimi samymi w końcu[4]).

Duchy zmarłych — stanowiąc jakgdyby oddzielny, drugi świat, podobny do tego, który wymarzył sobie Swedenborg — żyją w dwu rzeczywistościach: najpierw między sobą, powtóre z ludźmi żyjącymi.

Ci ostatni stanowią trzy grupy: albo to będą jednostki wyjątkowe, obdarzone wysoką wrażliwością psychiczną, która im umożliwia kontakt z duchami, albo przez długotrwałe obcowanie z dziełami zmarłego myśliciela czy artysty i wielką dla niego sympatję, sprowadzają go w swoją bliskość, albo wreszcie łączyła ich ze zmarłymi przyjaźń, czy miłość, na ziemi, i teraz kontynuują jakgdyby dawne rozmowy i spotkania.

U Norwida znajdujemy przykłady wszystkich tych stosunków.

W ulubionych przez niego „rozmowach umarłych" Juljusz Cezar rozprawia z Napoleonem, Byron z Rafaelem, Rembrandt z Fidjaszem.

„Pompeja", „Epimenides" i „Garstka piasku" są ślicznemi opowiadaniami o niespodziewanych spotkaniach wrażliwego poety z mieszkańcami świata duchów.

W wierszu „Bliscy" zwraca uwagę na tych najlepszych towarzyszów człowieka, rzadkich niesłychanie

„Co, choćbyś umarł od wieku,
Weszli w poufne z tobą obcowanie,
Jak siedzący człek przy człeku..."

W innym utworze, pisanym w wigilję dnia Zadusznego (1856 r.) mówi tajemniczo o stosunkach zmarłych z żywymi i o jednomyślności, która między nimi wówczas zachodzi:

„Ta zaś nie tam jest, ani tam być może,
Gdzie będą ciała dwa o jednej duszy,
Lecz gdzie dwie dusze o tej samej porze..."

Ważniejszą jednak od wszystkich tych przykładów rzeczą, jest pewność, że Norwid rzeczywiście wierzył w możliwość obcowanie ze zmarłymi, a nawet sam fenomenów takich miał często doznawać.

Nasuwa się przypuszczenie, że niejaki wpływ na tę stronę jego psychiki mógł wywrzeć drogi mu nauczyciel, Minasowicz[5]), dziwak i oryginał, który zakochawszy się — na odległość — w nieznajomej sobie bliżej kobiecie, gdy ta umarła, wykradł z grobu jej głowę i nie rozstawał się z nią do końca życia, kontemplując ją codziennie i przemawiając do niej jak do żywej osoby.

(Dok. nast.) JULJUSZ WIKTOR GOMULICKI

[2]) W „Wędrowcu", 1900, nr. 19.

[3]) W „Wyborze poezyj" Norwida (1924 r.), na str. 107 (nota).

[4]) Jakie są dalsze losy duchów — po skończonej pokucie — Norwid wyraźnie nie mówi. Domyślać się tylko można, że będzie to całkowite zjednoczenie się z Bogiem, gdzieś „na szlaku białych słońc"...

[5]) Ob. o nim mój szkic w „Myśli Narodowej" z 1935 r. nr. 17. Nieuwzględnione w nim arcyciekawe świadectwa W. Szymanowskiego i Wójcickiego przekonywują nas, że Minasowicz był rzeczywiście typem psychopatycznym. Więcej o tem napiszę w przygotowywanym obszernym życiorysie malarza. Umarł nie 21 listopada (bo to stary styl), a 3 grudnia 1854 r.

NA WIDOWNI

Wspomnienie o Władysławie Rabskim. — Prawo publicysty do miejsca w historji literatury. — Publicysta i krytyk. — Rycerz wagnerowski. — Zacięcie dramatyczne temperamentu.

PRASA codzienna spełniła ciążący na niej obowiązek koleżeński, wspominając z uznaniem, sympatją i wdzięcznością o ś. p. Władysławie Rabskim z powodu 10-ej rocznicy jego zgonu. Podzielam w zupełności ten dług uczuciowy, ile że znałem Rabskiego oddawna (od r. 1894), kiedy jeszcze w Poznaniu wydawał tygodnik literacki, i zawsze z upodobaniem czytywałem, co pisał. Ale dołącza się do tego motyw literacki zasadniczy, mianowicie przy każdej sposobności radbym wysuwać prawa publicystyki do zajmowania należytego miejsca w historji literatury.

Dwa warunki są według mnie niezbędne przy kwalifikowaniu publicysty, jako pisarza politycznego, do rangi literackiej. Po pierwsze, pisać musi tak, żeby artykuły jego zebrane razem, mogły być wydane z pożytkiem w książce. Jest to kwalifikacja napozór tylko formalna, ale to nieprawda, ma ona na względzie głównie wartość zawartych myśli. Jedynem stanowiskiem tego typu pisarza (i to jest warunek drugi) może być — narodowe. Inne stanowiska nie harmonizują się z istotą tej literatury, którą się bierze za przedmiot badań historycznych w celu poznania ciągłości twórczej ducha narodu.

Rabski obu tym warunkom odpowiada, a przytem bardzo jest interesujący, jako odmiana polska w sensie typu wielkopolskiego. Drugą zaś osobliwością jego temperamentu pisarskiego było łączenie talentów publicystycznego i dramatopisarskiego. Był przecież dramaturgiem także, a nadto znakomitym krytykiem teatralnym. Tak się złożyło, że w r. 1925 przed śmiercią wyszły prawie jednocześnie dwie książki Rabskiego: „Walka z polipem" (publicystyka) i „Teatr po wojnie" (zbiór krytyk).

W tytule „Walki z polipem" nie było fałszu, ani przesady. Rabski istotnie walczył i był to polip, z którym walczył. Widział polipa w międzynarodówce, usiłującej odebrać Polsce odrodzonej charakter państwa narodowego.

Rozdziały tego interesującego dzieła, znaczone datami od października 1918 do końca 1924 r., obejmują przestrzeń pierwszej mili dziejów niepodległej Polski. Czytelnik książki przebywa teraz tę drogę szybko, jakby czytał powieść sensacyjną, stąpając po kwiatach talentu pisarskiego, których fejletonista nie szczędził rydwanowi dziejów. W natłoku faktów zapomnieliśmy niejedno, jak się zapomina sny; czytamy fejletony, jak swój pamiętnik, który utonął w niepamięci, bo pisarz wyrywał nam w swoim czasie z serca to, czego sami określić nie umieliśmy.

Napisać jednak taką książkę trudniej niż powieść. Siedem lat trzeba było stać na straży wypadków i każdemu z nich dać w dzienniku postać aktu świadomości dziejowej, aktu — który byłby uznany za własny przez przeciętnego czytelnika i przez ogół. A nie była to praca regestracyjna; temperament publicysty, raczej charakter jego zadecydował o wyborze faktów historycznych. Rabski zabiega drogę zdarzeniom, które krzywią linję historyczną, walczy o prawdę historyczną, walczy z jej wrogami. Imię tych wrogów — polip. Sprawia się jak Zygfryd ze smokiem.

Pisarz ma tę wyższość nad nami, że on sobie wroga uprzytomnił już wtedy; myśmy nie zawsze mu wierzyli, gotowi byliśmy zarzucać mu przesadę; teraz widzimy. I na tem właśnie polega znaczenie książki, że jest jak seminarjum historyczne, odbywane ze świadkami zdarzeń. Publicysta przerabia z czytelnikiem to, co wykładał, a ukazując im na całym okresie dziejów związek faktów, święci triumf.

Walka z polipem w tych czasach krytycznych koncentrowała uwagę publicysty w najważniejszym punkcie politycznym: czem ta Polska ma być, jaka ona ma być? Był to czas chaosu, z którego wyłaniały się lądy państwowych realności i polskiego subjektu twórczego. Zdjęte kordony dały upust ku Warszawie rozdzielonym dotąd dzielnicom, co zmieniło poziom żywiołu politycznego i skłóciło ten żywioł mnóstwem sprzecznych prądów, biorących nazwy najrozmaitszych stronnictw. W tej mętnej wodzie żerował polip, pracujący na kalectwo i niedołęstwo Polski, pragnący ją uszczuplić i pomylić w kierunku dziajowym.

Zbiór fejletonów Rabskiego należy do kategorji dzieł, które ma obowiązek uwzględniać historja literatury. Wiąże się ona z literaturą swoją formą. „Walka z polipem" w bibljografji literatury znaleźć się powinna w szeregu z pracą Rabskiego o satyrach Opalińskiego, z dramatami „Asceta", „Zwyciężony" i t. d. Zarysowuje się wyraziście w tej książce indywidualność pisarza, a to jest warunek, kwalifikujący dzieło do literatury twórczej. Fejleton to nietylko „myśli przędza" artykułu dziennikarskiego, to także „uczuć kwiaty"; fejleton zawdzięcza swoją odrębność temu, że autor traktuje w nim zagadnienia ze stanowiska osobistego. Nic więcej.

Osobistość Rabskiego w fejletonie publicystycznym występuje bujnie, wyraźniej określa się, niż w fejletonach teatralnych, gdzie krytyk zmuszony bywa nieraz robić więcej „polityki", niż na terenie polityki ogólnej. Tutaj miłość narodu dobywa najwyższe akcenty serca, tutaj pisarz walczy o najwyższą wartość życia. Rabski więcej w tej dziedzinie przeżywa, niż w teatrze, puszcza tutaj w grę grubsze walory swojej bogatej umysłowości, bardziej jest bezpośredni, ludzki i rycerski.

Indywidualność Rabskiego wyrasta w końcu minionego stulecia, kiedy nie było jeszcze terenu dla ogólnej polityki polskiej. Przewagi swoje zawdzięczał szkole wielkopolskiej, z Wielkopolski bowiem pochodził (doktorat składał w Berlinie). Szkoła ta zaznacza się i w sposobie ujmowania treści i w formie.

Zabór pruski mógł być szkołą myślenia politycznego. Tam istniało bądź co bądź życie parlamentarne, a w niem walka Polaków o prawa narodowe. Tam nauczono się w szkole Bismarcka myśleć kategorjami narodowemi i działać, aczkolwiek w ciasnych granicach. Kiedy ta umiejętność wśród Polaków pod wpływem szkoły krakowskiej zaczęła ginąć, to opozycja polska znalazła już podtrzymanie w prądzie wszechpolskim z Warszawy. Tego prądu się chwycili koło roku 1890 wielkopolanie Kasprowicz i Rabski.

Rabski przybył do Warszawy w r. 1897. Długi czas czekał (może zawcześnie przybył) na rozszerzenie szranek życia publicznego. Przez ten czas rycerskie pióro zatrudniał w teatrze. Odbiło się to na jego stylu. Od młodości przykładał się do twórczości dramatycznej. Na życie patrzył długo przez pryzmat teatru. To też i fejletony jego publicystyczne mają swoisty charakter stylowy, obliczony na „rampę". Sytuacje najczęściej są scenizowane, rozkładane na głosy. W odręcznej charakterystyce, w stopniowaniu efektów czuć rękę dramaturga.

Wyobraźnia literacka Rabskiego widzi ideę plastycznie w sytuacjach żywych ugrupowań. Nad grę wewnętrzną słów przenosi ich ton. Więc śmiały jest w linjach, nie drobiazgowy w cyzelowaniu. Nie szpadą operuje, lecz szablą. Nie boi się szarży, gdzie innemu starczyłby sztych ironji.

I tu najwybitniejsze znamię stylu: przewaga dramatyczności nad humorem, patosu nad refleksją, gestu nad skupionym wyrazem, linji nad punktacją. Nie wahał się przed użyciem wysokiego tonu i dramatycznego gestu, nawet koturnu. I wychodził na tem dobrze — cel był osiągnięty.

Na talent publicystyczny Rabskiego złożyły się: naprzód kultura polityczna, potem kultura wyobraźni scenicznej, wreszcie dar krasomówczy, który jest owocem obu tamtych rutyn. Jak wiadomo z wystąpień publicznych Rabskiego, był on doskonałym oratorem.

Na czem głównie polega dar ekspresyjności oratorskiej? Na odwadze cywilnej. Ta odwaga wyrabia się przy częstszem obcowaniu publicznem. Krasomówstwo w połączeniu z literackością daje ciekawą odmianę stylu. Oparta na wyobraźni słuchu kieruje piórem tak, aby słowa dobrze brzmiały w czytaniu.

Człowiek nałożony do pióra, nie traktujący słowa jako czynu, z zapartym oddechem, a ze strachem czekający na efekt, nie zdolny jest narażać się osobiście: walka jest zawodem obcym jego psychice. Dlatego taka zachodzi trudność wytworzenia nawet w tak dużem jak nasze społeczeństwie, kadrów publicystycznych, z literatury bowiem bezpośrednio trudno je wywołać. Na to trzeba dłuższego okresu życia publicznego.

Rabski był z generacji działaczy politycznych; górował w nim zmysł polityczny, który musi widzieć jedną stronę medalu, żeby czegoś dopiąć. Słowo dla niego to środek przepierania. Zaprawił się w używaniu słowa, jako mówca, zaszczepił swój talent literacki na dziczce odwagi cywilnej. Był bitny, waleczny i rycerski. Nie trzeba nazywać tego bohaterstwem; był to obowiązek publicysty, u nas niedoceniony, nawet źle widziany.

Walczenie o dobro narodu! W naszem zaścianku literackim uchodzi takie rycerstwo dotąd za rzecz niedystyngowaną. Smak schyłkowych obyczajów wypijania atramentem bruderszaftów ze złem, literacka tołstojowszczyzna, nadająca odpowiedni ton sternikom narodu — mają swoją przyczynę w słabej kulturze życia publicznego. Jakże walczyć, gdy serce zajęcze? O co walczyć: o dobro, gdy jeszcze nie ustalone w głowie, co dobre, co złe? O czyje dobro: narodu, gdy zniszczone literackiem wzywaniem Ojczyzny instynkty nie narzucają wyobraźni widoku narodu, jako realnego bytu? Żeby naród widzieć trzeba wzrok swej duszy wykształcić w walce o jego byt, w walce z polipami.

Z. W.

GŁOSY

NA CZOŁO WSZYSTKICH ZAGADNIEŃ WYSUNĘŁA SIĘ DZISIAJ SPRAWA GDAŃSKA. Powolne krok za krokiem, ale — niestety — istotne wycofanie się Polski z pozycji, którą zyskała Traktatem Wersalskim, doprowadziło ostatniemi dniami do ostatecznego zerwania związków wolnego miasta przez zarządzenie celne senatu. Reakcja rządu doprowadziła jedynie do kompromisu, przywrócenia stanu poprzedzającego wybuch zatargu. Nie wykorzystano okazji aby przekreślić wszystkie dotychczasowe, na przestrzeni lat kilkunastu ustępstwa, chociaż zatarg w jaskrawych barwach ukazał różnicę pomiędzy naszemi możliwościami prawnemi i przywilejami a dzisiejszym stanem faktycznym. Ów stan faktyczny rząd uznał za zwycięstwo. Wolno spytać czy na długo?

I tu obserwacja polityki niemieckiej od czasów zwycięskiej narodowej rewolucji musi poważnie zastanowić. Wystąpienie z Ligi Narodów, plebiscyt w Zagłębiu Saary, bezkarne zarządzenie tworzące armję, marynarkę oraz flotę powietrzną — wszystko to wskazuje na konsekwentną oraz zdążającą do wyraźniejszego celu linję postępowania odrodzonych duchowo i zjednoczonych Niemiec. Jednym z etapów miały być i zarządzenia celne Gdańska. Jeszczo się nie udało. Jest to tylko rezygnacja chwilowa.

Zespół hitlerowski jest zespołem mocnym i nieustępliwym. U początku swego ruchu miał nieudany zamach stanu, który się skończył klęską — śmiercią kilkunastu najważniejszych ludzi, uwięzieniem wodza. Mimo to nie zniechęcono się, a w lat dziesięć doprowadzono do rewolucji, zupełnego triumfu. Historja ta jest wielce pouczająca i należy ją mieć na uwadze. To, że się im teraz w Gdańskiem całkowicie nie udało, wcale nie świadczy, iż się nie uda kiedyś, może nawet niedługo. Warunki są przecież takie same jak przed dwoma tygodniami...

Należy temu stanowczo zapobiec. Domaga się tego cała opinja narodowa. A zapobiec można jedynie przez całkowite wyzyskanie naszych praw. W przeciwnym razie teren wolnego miasta będzie stałym ogniskiem propagandy hitlerowskiej, zdążającej do scalenia wszystkich ziem, gdzie tylko niemczyzna ma jakieś placówki. Wystarczy czytać prasę niemiecką (Voelkischer Beobachter"!), która z niebywałą śmiałością pozbawiona jakiejkolwiek dyplomacji przyznaje, że za Greiserem stoi Berlin. Słusznie pisze „Warszawski Dziennik Narodowy", iż „...zatarg ostatni był pewnego rodzaju ostrzeżeniem. W jego świetle ujawniły się dążenia Niemiec współczesnych na wschodzie Europy, oraz metody działania nowoczesnego nacjonalizmu niemieckiego. Gdańsk — w świetle ostatnich wydarzeń — nie okazał się punktem wyjścia dla porozumienia polsko-niemieckiego, lecz źródłem zwodniczych sprzeczności między nami i Niemcami. Z tego wynika, że niewystarcza w stosunku do Wolnego Miasta taktyka dotychczasowa, trzeba, ażeby Polska miała w dziedzinie spraw, wynikających z jej pozycji nad Bałtykiem, politykę obliczoną na długą metę, politykę aktywną i stanowczą".

Te trzy warunki i długowzroczność polityki zgodnej z interesem i ambicją narodową, aktywność i stanowczość są wymaganiami stawianemi dzisiaj przez całość opinji polskiej. To też, mimo chwilowego zlikwidowania zatargu, nie przestajemy wszyscy patrzeć na Gdańsk — co więcej, uwaga nasza się wzmogła, sytuacja bowiem w swym realizmie niezwykle się uplastyczniła, przestrzegając, że obliczone na krótką metę złagodzenia i to w formie kompromisów nie wystarczą.

ROZŁAM W STRONNICTWIE LUDOWEM i przejście do obozu sanacyjnego grupy „Wyzwolenia” z częścią Stronnictwa Chłopskiego, nie było znowuż taką niespodzianką, jak to sądzili młodzi ludowcy, czemu dali wyraz w komunikacie przesłanym m. in. i prasie narodowej. Czemże był bowiem ruch ludowy?

W swem założeniu opierał się na światopoglądzie materjalistycznym oraz „idei” walki klas. Był więc przedewszystkiem zacofaństwem, czemś zupełnie niewspółczesnem. Dlatego też istnieć mógł jedynie w ramach ustroju, który mu sprzyjał, co więcej był z nim nierozerwalnie związany. Ustrojem tym była demokracja z parlamentem opartym o pięcioprzymiotnikowe prawo głosowania. Rozmaite odcienie tego ruchu, ściślej mówiąc niewyszukane ambicje przywódców i kierowników znajdowały w rozgwarze walk partyjnych i kuluarowych targów doskonałą atmosferę dla swych niedaleko sięgających horyzontów. To też niesławny koniec demokracji w Polsce musiał pociągnąć za sobą rozkład ruchu ludowego. Przywódcy nie mogąc się wyzbyć starych nawyków poszli tam, gdzie pozostały jeszcze szczątki parlamentaryzmu, chociażby nawet w formie zupełnej karykatury. Była w tem również i chęć zabezpieczenia sobie bodaj tylko najbliższej przyszłości wobec bankructwa programu ludowego na wsi.

Wieś w ostatnich czasach zapełnia szeregi narodowe. Zwrot ten jest zjawiskiem masowem i symptomatycznym. Nie wynika jedynie— jak usiłują twierdzić niektórzy — wyłącznie z negacji do panującego obecnie systemu, niema jedynie charakteru opozycyjnego; przyciąga chłopa do ruchu narodowego jego strona pozytywna. Jest to zjawisko o niezwykle doniosłem znaczeniu, trzeba sobie bowiem zdać sprawę z tego, iż chłop polski przez swą rasową czystość, osiadłość, przywiązanie do ziemi, własny dobry warsztat pracy, stanowi niejako model typu przyszłego ustroju narodowego. Dodajmy jeszcze, iż nacjonalizm wciąga go w krąg światopoglądu idealistycznego. To więc, co się dzieje w masach na wsi to jest bardzo znamiennym i cieszącym nas wielce procesem. Jest poprostu realizacją naszych dążeń.

Dziwią więc niezmiernie posunięcia sfer sanacyjnych, które partyjnemi targami z przywódcami dawnego ruchu ludowego przyśpieszają jedynie całkowite unarodowienie wsi polskiej. Pyrusowe zwycięstwa sanacji wykazują dobitnie, iż jej polityka nosi wszelkie cechy zabiegów o charakterze doraźnym, obliczanych jedynie na dzień najbliższy.

KIEDY PO ŚMIERCI Sz. Askenazego, zastanawiając się nad tą niepospolitą postacią (nr. 28 „Myśli Narodowej”) stwierdziliśmy, że obok talentu nie miał w sobie najważniejszej dla historyka i męża stanu rzeczy: mianowicie instynktu polskiego, a przeto niezbędnej w tych zawodach intuicji, uważano — byli tacy — ten pogląd za stronniczy. Historyk Adam Skałkowski, uczeń Askenazego, rzucił nawet w naszą stronę słówko: „nacjonalizm stadny”.

Że nie miał racji, przytoczymy na dowód opinję również ucznia i przyjaciela Askenazego, p. Antoniego Plutyńskiego, który w bardzo interesującem wspomnieniu o Askenazym (n-ry 205—212 „Polski Zbrojnej”), pomimo wielkiego uznania dla zmarłego, zamieścił następujący fakt i jego ocenę:

„Już po wybuchu wojny, zdaje się w maju 1904 r. zaprosił nas kilku młodych Askenazy do siebie na pierwszą i ostatnią (?) konferencję polityczną. Interesował się zawsze robotą polityczną młodych, czasami nawet do projektu jakiejś rezolucji wiecu akademickiego dorzucał nam swoje ostre, ważkie sformułowanie, ale wpływać na opinję konkretnie nie próbował. Zdziwiło nas więc nieco zaproszenie. Był ś. p. Leszczyński, ś. p. Moszyński Tadeusz, Skałkowski, ja, kto więcej, nie pamiętam.

Przyjechał z Warszawy dr. Beni, odgrywający wtedy poważną rolę w sferach inteligencji warszawskiej, ni mniej, ni więcej, jak z projektem stworzenia, za pieniądze polskie, oddziału Czerwonego Krzyża przy armji rosyjskiej.

Askenazy powiedział na wstępie coś krótko o tem, że nie ma możliwości podniesienia sztandaru bojowego z orłem białym, więc, jako znak życia, jako dokument historyczny, należy chociażby podnieść sztandar polskiego Czerwonego Krzyża. Potem zabrał głos dr. Beni i mówił, że chłop i robotnik polski muszą pójść na wojnę, że nic nie możemy zrobić, aby temu zapobiec. Możemy tylko przynieść mu pomoc lekarską i pociechę religijną w chwili śmierci i że on z poważną grupą warszawską, uważając to za obowiązek ludzki i narodowy, pragnąłby usłyszeć zdanie młodzieży lwowskiej.

Zmieszani, przerażeni patrzyliśmy jeden na drugiego, to na Askenazego, który się pochylał, jakby pod ciężarem. Nastał moment przykrej ciszy. Wreszcie zabrał głos bliski Askenazemu Skałkowski.

Mocnym rozdźwiękiem skończyła się, o ile mi wiadomo, jedyna na gruncie lwowskim, próba Askenazego oddziania czynnego na bieg politycznych wypadków. Jego wielkie znawstwo historji porozbiorowej Polski nie przeszkodziło mu w konkretnym wypadku popełnić wielkiej omyłki nietylko co do samego projektu, ale co do jego przyjęcia przez najbliższe mu grono polskiej młodzieży. Okazuje się, że żadne studja, żadne teoretyczne rozważania, żadne najwybitniejsze zdolności zastąpić nie mogą tych nieuchwytnych, instynktowych lecz subtelnych związków uczuciowych człowieka ze społeczeństwem, które go chronią od omyłek i na właściwą drogę sprowadzają”.

Autor tych wspomnień ani słówkiem nie napomyka, że Askenazy rolę swoją w Polsce odegrać mógł tylko dlatego, że między swojem żydostwem i polskością uwił sobie gniazdo obserwacyjne i wypadowe — w trzeciej pomostowej sferze, mianowicie w organizacji masońskiej. Od Beniego w dużej mierze był uzależniony organizacyjnie, zabiegom loży zawdzięczał katedrę we Lwowie. Oczywiście wśród młodzieży akademickiej nie mógł robić wielkiej polityki. Był bardzo jej oddany, jej bowiem zawdzięczał niesłychaną reklamę, która stanowisko jego na uniwersytecie utrwaliła. Ale małą politykę robił, o czem autor nie wspomina: usiłował stworzyć rozłam między młodzieżą a stronnictwem narodowem i co mógł w tym względzie zrobić, to zrobił. Nie wspomina także autor, że w czasie wojny światowej zmysł historyczny i polityczny też mu był nieprzydatny. Robił to, co nakazywała „racja stanu” mocarstwa anonimowego.

NAUKA i LITERATURA

LUDZIE MORZA

MIŁO uświadomić sobie, że w poszukiwaniu nielicznych zakątków ziemi o prostym, biblijnym sposobie życia, nie potrzebujemy zapędzać się aż na kraj świata, gdzieś do prastarvch, osnutych mgłą legendy, osad szczepów, osiadłych w dolinie Tygru i Eufratu.

Patos patrjarchalnego, pełnego tradycyjnych cnót, bytowania, w krainie Ur, w Syrji czy Mezopotamji, wzruszał nierzadko poetów, chciwie słuchających głosu z przed wieków. Konwencjonalne te obrazy weszły, w charakterze podstawowych elementów, w skład wyobraźni artystycznej i do dzisiaj niezmiennie w godzinie zwątpień sięgamy wzrokiem w pomarańczowo-błękitną dal, - pociętego wstęgami rzek i znaczonego soczystą zielenią dolin, „rajskiego krajobrazu".

Powtarzam, ze wzruszeniem czynimy nieoczekiwane odkrycie: nie jest tak źle, skoro i naszą, szarą, zniwelowaną Europę stać na rezerwat odwiecznej, w powłoce dziejów ginącej, kultury. Prezentuje ją nam L. A. G. Strong w powieści „Ludzie morza" (Powszechna Spółka Wydawnicza „Płomień". Warszawa 1935. Autoryzowany przekład Bolesławy Kopelówny. Str. 303).

Północna Szkocja ani na jotę nie jest mniej antyczna od najbardziej zapadłego „Kiszłaku" w Tadżykistanie.

Choć przeorało ją chrześcijaństwo, pozostała, w szczerych reakcjach duszy prostego rybaka z wybrzeża, nietknięta, niedostępna zmianom ani rozwojowi.

Klan Macrae, z przywódcą-ojcem rodziny, o niespotykanem imieniu, Hektor, na czele, od dwustu lat wiedzie podjazdową wojnę z rodem Mc Farish. — Rzecz w tem, kto lepszy?! Gdy więc jeden z Mc Farish'ów uległ w walce o kobietę Fergusowi Macrae, bohaterowi opowieści, rzucone zostaje zwycięzcom (cały klan odpowiada za jednego) wyzwanie, poczem odbywają się, pełne dramatyzmu, zawody wioślarskie o palmę pierwszeństwa między dwiema rodzinami.

Hektor płaci życiem za radosną chwilę triumfu. Pogrzeb odbywa się w warunkach, godnych śmierci bohaterów trojańskich, a na stypie rozbrzmiewa starożytna kobza, podtrzymująca dziki, urywany rytm niesamowitej sagi o losach dziewczyny-dziwożony, przemienionej mocą złych czarów w fokę.

Szkocja... kraj baśni i krwawych wspomnień, widm i bitew, staczanych w odludnych dolinach, nad cichemi zatokami przez cienie wymordowanych we wzajemnych walkach między klanami, wojowników: wściekłe zapasy Mac Donaldów i Mc Leodów.

W półdzikim kraju, w surowem tchnieniu żelaznej hierarchji rodzinnej, od wieków naginającej młodzież nietylko do woli ojca, ale i do rozkazów najstarszego brata, wzrasta Fergus Macrae, tak zgrzebny i prosty, jak zgrzebne jest płótno konopne na żaglach.

Co innego brat starszy, Jan, „uczony", gdyż łyknął coś nie coś wiedzy w miejscowej szkółce, intrygant i oszust, w potrzebie nikczemnik i zdrajca, ale zarazem głowacz o twórczej wyobraźni. Potrafi on kierować dobrodusznym rybakiem, popchnie go nawet do wygodnej dla siebie zbrodni, sam kryjąc się za potężnemi barami naiwnego olbrzyma. Teraz i później, gdy nie wpuści do rodzinnego domu, powracającego z więzienia, pod odbyciu kary, brata, z całym cynizmem uzyskuje specjalne przywileje senjora rodu, wyższego ponad prawo, dla którego wyznacza ofiarę— swego zastępcę.

Zresztą prawo nie istnieje nawet dla takiego Hektora, człowieka najlepszej wiary, jednocześnie przemytnika alkoholu — istnieje, owszem... prawo rodowe.

Fergus, jak dziecko lub człowiek, który nie dokonał trudnego dzieła oderwania własnej osobowości od środowiska, nie może wprost obejść się w życiu w zespole bez twardego kierownictwa. Naprawdę sobą czuje się na morzu, gdzie, w niedostrzegalny dla siebie sposób, roztapia się w żywiole.

Religja u tych ludzi odgrywa rolę zupełnie realne pozycji w rachunku sił rządzących życiem... Widzenie kar piekielnych, narzucone, jako wyobrażenie natarczywe, siłą wymowy przygodnego kaznodziei, histeryka i wizjonera, dodaje w krytycznym momencie ginącemu Fergusowi ostrogi i staje się dlań wybawieniem. Zresztą, autor ma „przed oczyma wizję dobrego, rozumnego Boga..., który naprawdę nie chce złych czynów, a nie lubuje się w porywie wściekłości i żądzy kary". Choć, z drugiej strony sprawiedliwości musi stać się zadość: dwukrotnie dotyka karząca ręka losu: zuchwalców, wyzywających wprost pomstę Niebios i obłudnego świętoszka, Jana. W obydwu razach z wypadku ciągną naukę późne pokolenia w całej okolicy.

Monumentalna postać rybaka ze Wzgórz — o psychice, będącej wypadkową dążeń rodu, pod ciągłą presją sakralnych wskazań swoistego kodeksu honoru — rzucona na tło wewnętrznej walki między bezwzględnemi zakazami religji i ciepłem tchnieniem życia, olbrzymieje w oczach, staje się podobną do symbolicznego syna ziemi, z niej czerpiącego nieświadomą moc, a uwikłanego w niezrozumiałą grę perfidji i kłamstwa.

Książka kończy się wspaniałym akordem wiary w życie pozagrobowe i braterstwa ludzi morza. Tą nutą drgają rozdziały, poświęcone przyjaźni Fergusa ze starym kapitanem, Eneaszem M. Grath.

Z polskich autorów jedynie Conrad Korzeniowski podniósł motyw braterstwa broni na wyżyny jednego z głównych składników wzniosłej etyki heroizmu — właściwej pracownikom morza.

Przekład p. Bolesławy Kopelówny nieco lepszy, niż zwykle; główną wadą tym razem — brak dosadności zwrotów, trafności określeń i precyzji stylu. ES.

Z HISTORJI RZEK POLSKICH

ADAM CHĘTNIK „Spław na Narwi, tratwy, oryle i orylka". Studjum etnograficzne z mapą i ilustracjami. Warszawa, 1935. Wyd. Kasy im. Mianowskiego, str. 137.

Autor, kierownik stacyj naukowych dorzecza środkowej Narwi Towarzystwa Naukowego Płockiego, przedstawił na podstawie aktów, kronik i własnych spostrzeżeń historję spławu na Narwi od czasów najdawniejszych do dni dzisiejszych.

Od lat, bo jeszcze przed wojną światową, zajmował się p. Chętnik badaniami ziemi i ludu Kurpiów, i ogłosił szereg cennych studjów: „Puszcza Kurpiowska", „Chata kurpiowska", „Warunki gospodarczo-kulturalne na pograniczu Kurpiowsko-Mazurskiem", „Bursztyniarstwo na Kurpiach", „Kurpie", „Z kurpiowskich borów" (szkice, opowiadania, obrazki i gadki w narzeczu kurpiowskim), „Krótki przewodnik po Kurpiach", „Kalendarzyk zwyczajów i obrzędów ludu kurpiowskiego", „Rybołówstwo na Narwi", „Z zielonej puszczy" i „Rybołówstwo zimowe nad Narwią".

W książce „Spław na Narwi" uwydatnia w historycznej perspektywie charakterystyczne cechy rzeki i zamieszkałej nad jej brzegami ludności. Źródła Narwi wypływają ze wschodniego krańca puszczy Białowieskiej, a od Tykocina rzeka przydatna jest do spławu. Ruch spławu rozpoczął się w końcu XIV wieku, o czem wspominają dokumenty Kujaw i Mazowsza. Uchwała sejmu za Kazimierza Jagiellończyka ponowiła prawo Kazimierza Wielkiego, a później potwierdzona została przez Zygmunta Agusta i Zygmunta III. Prawa te zaliczały Narew do rzek spławnych. Była wolną i portową dla wszystkich, tak jak Wisła, Dniepr, Styr, Bug, Warta i inne.

„Narew była jedną z główniejszych arteryj handlowych północno-wschodniego Mazowsza; była gościńcem, którym szła od południa niezbędna dla życia sól. Przyczyniła się też do rozwoju miast, nad jej brzegami położonych, oraz wzbogacała mieszkańców. Z drugiej zaś strony zubożyła Mazowsze w lasy". Możność spławu miała ważne znaczenie dla działań wojennych. Wspomina o tem Długosz, nadmieniając, że Jagiełło wraz z Witoldem, przygotowując się wcześnie na wielką wojnę przeciw Krzyżakom, przez osiem dni w 1409 r. polowali w Białowieży dla zaopatrzenia się w potężny zapas grubej zwierzyny, mianowicie żubrów i łosi, których, ubiwszy wiele, kazali mięso solić i w beczkach spławić Narwią i Wisłą na Mazowsze. Właściwy jednak ruch spławny datuje się od coraz wzrastających czynności handlu. Wywóz wzmagał się przez Gdańsk, wywóz drzewa budulcowego, drzewa nieoprawionego i potażu. Jak olbrzymie ilości wyrębów ogołacały puszcze z drzewostanu, widać z obliczeń przeciętnych cyfr wywozu rocznego. Czterdzieści tysięcy sosen, sześć tysięcy desek dębowych, dziewięćset łasztów potażu i trzynaście tysięcy beczek popiołu. „Potaż zjadł bory", mówią do dziś starzy Kurpie. Dla zdobycia popiołu, potrzebnego do wyługowywania potażu, jeszcze w połowie dziewiętnastego stulecia palono całe obszary puszcz nad Narwią. Wolność spławu i wolność urządzania rzek do żeglugi ułatwiały możność obrotów handlowych i opustoszały około 50 tysięcy mórg lasu.

Były lasy, bory i puszcze:

Świsłocka, Zielona albo Kurpiowska, Augustowska, Kryszyńska, Grodzieńska, Łomżyńska, Ostrołęcka i Przasnyska. Bory Rajgrodzkie i Sztubińskie, Goniądzkie, Nowowiejskie i Zakątowskie. Lasy Zabłudowskie, Bielskie i Rudzkie, Czartajewskie i Pobiksowskie.

Dziś z wielu nich zostały, prócz Białowieskiej, tylko ich nazwy. Zostały też w bagnach i namuliskach wielkie, od tysięcy lat kłody zczerniałych drzew, powalonych przez siły przyrody, niebezpieczne dla żeglugi, z dna koryt rzeki zagrażające statkom rozbiciem.

Handel nie oszczędzał drzew.

Spławiano sosny masztowe, jodły, świerki, dęby, lipy, klon, jesion, cis, brzozę, wiąz przez Gdańsk do Niemiec, Anglji, Szkocji i Portugalji. Pozatem szło wodą w świat zboże polskie, wywożono olej, miód, wosk, ryby, spirytus wzamian za towary fabryczne. W miastach nadbrzeżnych powstawały kantory, składy, sklepy. Wzrastał dobrobyt mieszkańców Wizny, Łomży, Ostrołęki, Różanu, Pułtuska, mniejszych miasteczek i wsi. Wytwarzał się, rozwijał i organizował stan przewoźników, żeglarzów, prawa celne, terminologja zawodowego słownictwa rzecznego, narzędzia pracy, budownictwo statków, podania o duchach wodnych, pieśni i melodje.

Spław na Narwi zatrudniał znaczną część ludności nadbrzeżnej. Zwózka do statków odbywała się wozem lub saniami, poczem dopiero wodą.

Autor dobył z zapomnienia i obrazowo odtworzył stan tych robót pod względem gospodarczym, narodowym i społecznym. Liczne ilustracje ukazują fragmenty puszcz i borów nad Narwią, poręby leśne, tratwy rzeczne, mosty, warsztaty obróbki drzewa, budy mieszkalne na tratwach i na brzegach rzeki, a uzupełnia książkę słownik technicznych nazw narzędzi pracy, w ich pochodzeniu samorodnem i dźwięcznem, swoistem brzmieniu. A. W.

Z powodu otrzymywanych reklamacyj, podajemy do wiadomości Sz. odbiorców pisma, że numer 32 „Myśli Narodowej" (z powodu artykuliku w „Głosach") uległ konfiskacie i że drugiego wydania zrobić nie zdołaliśmy.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Kazimierz Tymieniecki: „Misja polska w Prusiech i sprowadzenie Krzyżaków". Rozprawa z pracy zbiorowej p. t.: „Dzieje Prus Wschodnich". Pamiętnik Instytutu Bałtyckiego, t. XXVII, str. 52, Toruń 1935. Skład główny: Kasa im. Mianowskiego.

Jakkolwiek w kwestji chrystjanizacji pogańskich Prusów istnieje wcale obszerna literatura naukowa, to jednak nie wszystkie problemy zostały w niej rozwiązane w sposób zupełnie objektywny i źródłowy. Przedstawienie całości tego zagadnienia oraz ustalenie istniejących dotąd wątpliwości na podstawie wszystkich dostępnych źródeł i ich krytycznej oceny, wziął sobie za zadanie prof. K. Tymieniecki w rozprawie: „Misja polska w Prusiech i sprowadzenie Krzyżaków".

W rozdziałach pierwszym i drugim („Misja polska od X — XII w." oraz „Na przełomie dziejów") przedstawia autor rolę i dążenia polskich czynników oficjalnych (książę) i nieoficjalnych (biskupstwa, zakony) w przeprowadzeniu chrystjanizacji Prusów.

Od Bolesława Chrobrego, który pierwszy udziela poparcia moralnego i materjalnego wyprawie misyjnej św. Wojciecha, poprzez wysiłki następców biskupa-męczennika (św. Bruno) myśl zatknięcia krzyża na terytorjach między ujściem Wisły a Pregoły, absorbuje ustawicznie władców polskich, znajduje pełny swój wyraz w ideologji politycznej Bolesława Krzywoustego.

Doniosłą rolę w tej akcji odegrały zakony, zwłaszcza Cystersów (Łekno) oraz biskupstwo pruskie, założone około r. 1216 za rządów arcybiskupich wielkiego reformatora Henryka Kietlicza.

Całkowity przewrót w tem położeniu sprowadza przybycie nad Wisłę Zakonu Krzyżackiego, który wygrywając zręcznie plany polityczne cesarstwa, papiestwa, dąży konsekwentnie najpierw do ujęcia całej sprawy misji wśród Prusów w swoje ręce, by tą drogą stworzyć z biegiem czasu nad Bałtykiem własne, oparte na organizacji świeckiej, państwo. Zabiegi Zakonu w tym kierunku ilustruje właśnie rozdział trzeci p. t.: „Powołanie Krzyżaków".

Pracę zamyka wykaz literatury i objaśniające uwagi do źródeł najważniejszych.

NA MARGINESIE

Sielankowa majówka przy zielonych stołach. „Kur. Poranny" z 14 sierpnia delektuje się ciszą przedwyborczą:

Namiętności wyborcze, podsycane dawnemi laty przez zwalczające się stronnictwa, obecnie na terenie ziemi grójeckiej nazewnątrz nie dają jeszcze znać o sobie. Mównice wiecowe, oblegane przedtem przez numerowanych i różnej barwy agitatorów zastąpione zostały przez zielone stoły, przy których spokojnie i poważnie omawiane są kandydatury. W tej chwili głos tylko mają elektorzy, wybrani przez rady gminne, radę powiatową, związki i t. d., i oni w zamkniętych lokalach rozpatrują możliwości wyborcze. Zjadą się oni w Skierniewicach dn. 14 b. m. z uzgodnioną listą kandydatów. Według pobieżnych obliczeń w zgromadzeniu okręgowem zasiądzie mniej więcej 80 proc. elektorów prorządowych.

Tak idyllicznie wyglądają w Polsce wybory „powszechne, bezpośrednie" i t. d.

Zielone stoły!

*

Wzięliśmy potem do ręki „Warsz. Dziennik Narodowy", aby się dowiedzieć, jakie wrażenie te „zielone stoły" zrobiły w obozie narodowym, ale niestety odpowiedni ustęp artykułu był skonfiskowany i nawet nie moglibyśmy go przytoczyć.

*

Niektórzy posłowie z Wyzwolenia (Woźnicki, Róg, Malinowski Miłguj i t. p.) wyzwolili się z obozu ludowego i zgłosili swe kandydatury, ale przyjęto ich bez entuzjazmu. To samo spotkało frondę obozu narodowego, która już zawczasu na to święto się przygotowała. Pokazało się, że nikt na nią nie czekał przy zielonych stołach, ani pod stołem. Wszystko skonsumowane w ciasnem, ale swojem kółku.

Z ZAPOMNIANEJ KSIĘGI

W ROKU 1903, z powodu wielkiej powodzi, która kraj nawiedziła, pisarze polscy wydali w Warszawie księgę zbiorową p. t.: „Na powodzian". Jest to obecnie rzadkość bibjograficzna, której poświęcimy osobną notatę. Narazie wyjmujemy z niej utwór nadesłany przez Jana Kasprowicza. Zasługuje on na powtórzenie w druku, ponieważ uległ zapomnieniu i nie wszedł do żadnego z dwóch zbiorowych wydań poezyj Kasprowicza. Piękny ten wiersz jest korekturą czy palinodją hymnu „Moja pieśń wieczorna".

J. B.

WARJANTY MOJEJ PIEŚNI WIECZORNEJ

Śpiewajcie ją wszyscy, co dłońmi drżącemi
po twardych, znojnych dniach
chwytacie klątwy ciężki głaz,
aby go rzucić niebiosom.
Choć duch się znęka
i serce zaboli,
choć przedśmiertelny ogarnie strach,
potęgę śmierci nadajcie swym głosom
i tak śpiewajcie mą wieczorną pieśń...
Radość to nasza i nasza to męka —
moja wieczorna pieśń...

W hymnach płynąca i skargach
moja wieczorna pieśń...

Z kogo powstałaś,
chłodna grudko ziemi,
na pełnej woni, świeżo przeoranej roli,
na którą promień padł
rozlewającej się zorzy?

Z Niego!

Błogosławiony niechaj będzie On!
I niech po wieczny czas,
po nieskończone dni
na Jego chwałę brzmi
moja wieczorna pieśń...

Z kogóż to wniknął wielkich żalów świat
w mą nieśmiertelną, wiekuistą duszę,
co od początku krzyżować się każe,
a od początku ma na drżących wargach
nie konający nigdy psalm żywota?
Co ma z cierpienia zbudowany tron, —
a sadza na nim swoją radość wielką
i czyni dla niej z archaniołów straże,
choć archanielski płomienisty miecz
poza Ogrodu wypędził ją wrota
w kraj, gdzie niesyta szarpie ją tęsknota!
Z kogóż to spływa ten szał,
rozpierający wnętrze naszych ciał,
tę marną, lichą czerń,
w której zamieszkał występek i skon,
że w tej zachodu godzinie
w rozolbrzymiałą wyrasta świątynię,
rozpłomieniony ogniami tej zorzy?...
W jasny przybytek Boży,
niewysłowionym rozdźwięczony dźwiękiem,
jak wielkanocny dzwon,
gdy tajemniczem dźwięczy zmartwychwstaniem?
Z kogo do naszych łon
ten cudotwórczy dech wieczności płynie
i znieśmiertelnia nas?

Z Niego!

Błogosławiony niech będzie On!
I niech po wieczny czas,
po nieskończone dni
na Jego chwałę brzmi
moja wieczorna pieśń...

Błogosławiony niechaj będzie On
w mojej wieczornej pieśni!
Błogosławiony niech będzie przez usta
konającego człowieka —
w tej mrocznej chacie, na onem pustkowiu,
do której cicho zdąża biała śmierć...
W srebrze miesiąca zdąża ścieżką, miedzą,
murawą stąpa i krętem przydrożem
i kłosy zrywa z szumiącego żyta,
albo też listek zielony z topoli,
i w zamyśleniu rzuca je pod nogi.
A za nią, śladem jej drogi,
snuje w mglisty pas
i wchłania w siebie te poszumy zbóż
i te majaki pochylonych drzew
i ten wieczornej gwiazdy senny blask
i ten daleki, daleki rozhowor,
od siół płynący przygasłą melodją.
Snuje się od tych wybrzeży
mgłą owianego jeziora,
nad którem dusza zmęczona
tą długą, krwawą wędrówką po ziemi,
szepce ogniami znikającej zorzy
ten swój odwieczny, nieśmiertelny hymn:
Błogosławiony niechaj będzie On!

Błogosławiony niech będzie w tym śpiewie
ukrytej w żytach przepiórki
i w tym trzepocie skrzydeł nietoperza,
który przeleciał nad głową
o krzyż opartej, niemej melancholji.
I w tym szeleście jaszczurki,
przemykającej wśród trawy,
i w tem robaczka zielonawem lśnieniu
i w tym zapachu rzepiku
i w tajemniczem echu walk wewnętrznych.

O moje życie! moje smutne życie!

Mgłą wypłynęło z wielkiego jeziora
i na te trawy kładło się pobrzeżne
i rozsnuwało swoje wieczne przędze
po cichych polach zasianych pszenicą,
i po konarach tych samotnych drzew,
sadzonych w szczytach naszych szarych chat,
na tych stwardniałych pagórkach,
zbitych stopami niedoli.

O moje życie! moje smutne życie!
O moja nędzo spokoju!
O moja żądzo miłości!

On jeden spokój ma w Sobie,
On jeden spokój ma w Sobie,
Błogosławiony niechaj będzie On!

JAN KASPROWICZ

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.